KRÓTKIE POWIEŚCI



Henryka Sienkiewicza

OSNUTE
NA TLE STOSUNKÓW
AMERYKAŃSKICH

POWIEŚCI
Henryka Sienkiewicza

PRZEZ STEPY — ORSO —
KOMEDYA Z POMYŁEK — SACHEM —
ŁATARNIK — WSPOMNIENIA Z MIROPOZY.

DRUKIEM DZIENNIKA ZWIĄZKOWEGO I ZGODY, 1406-08 W. DIVISION ST
CHICAGO, ILL.

Za czasów mego pobytu w Kalifornii, wybrałem się pewnego razu z moim zacnym i dzielnym przyjacielem, kapitanem R., w odwiedziny do naszego rodaka J., mieszkającego w odludnych górach Santa Lucia. Ponieważ nie zastaliśmy go w domu, przesiedzieliśmy dni pięć w głuchym wąwozie, w towarzystwie starego sługi, Indyanina, który pod niebytność pana pilnował pszczół i kóz angorskich. Stosując się do miejscowych zwyczajów, spędzałem znojne dni letnie, śpiąc przez większą część czasu, nocami zaś, zasiadłszy przy ognisku z suchego "czamizalu", słuchałem opowiadań kapitana, jego nadzwyczajnych przygód i wypadków, jakie tylko na pustyniach amerykańskich zdarzyć się mogą.

Chwile te uchodziły mi bardzo uroczo. Noce były prawdziwie kalifornijskie: ciche, ciepłe, gwiaździste; ognisko buzowało się raźnie, a w jego blaskach widziałem olbrzymią ale piękną i szlachetną postać starego wojownika - pioniera, który podnosząc oczy ku gwiazdom, szukał pamięcią ubiegłych zdarzeń, drogich imion i drogich twarzy, powłoczą-

cych nawet we wspomnieniu czoło jego smutkiem łagodnym. Jedno z tych opowiadań podaję tak poprostu, jak je słyszałem, sądząc, że i czytelnik wysłucha go z równą mojej ciekawością.

I.

Przybywszy do Ameryki we wrześniu roku 1849 — mówił kapitan — znalazłem się w Nowym Orleanie, który wówczas był jeszcze miastem na wpół francuskiem, stamtąd zaś udałem się w górę Missisippi, do jednej wielkiej plantacyi cukrowej, gdzie znalazłem pracę i dobre wynagrodzenie. Ale, że byłem naonczas młody i przedsiębiorczy, przykrzyło mi się siedzenie na miejscu i piśmienna robota; porzuciłem ją więc wkrótce, a natomiast rozpocząłem życie leśne. Mnie i moim towarzyszom upłynęło w ten sposób kilka lat wśród jezior luizyańskich, krokodylów, wężów i moskitów. Utrzymywaliśmy się z polowania i rybołówstwa, a od czasu do czasu spławialiśmy wielkie partye drzewa po rzece, aż do Orleanu, gdzie nam płacono za nie nie złe pieniądze. Wyprawy nasze sięgały częstokroć stron bardzo odległych. Zapuszczaliśmy się aż do krwawego Arkanzasu (Bloody Arcansas), który, dziś jeszcze mało zamieszkiwany, wtedy był zupełnie prawie pusty. Takie życie, pełne trudów i niebezpieczeństw, krwawych zajść z piratami na Missisippi i z Indyanami, których pełno jeszcze było w Luizyanie, w Arkanzasie i Tenessee, zahartowało moje niezwyczajne z natury siły i zdrowie, a przy tem dało mi doświadczenie stepowe, tak, że w tej wielkiej księdze umiałem czytać nie gorzej od każdego czerwonego

wojownika. Dzięki temu doświadczeniu, gdy po odkryciu złota w Kalifornii, wielkie partye emigrantów prawie codziennie opuszczały Boston, New York, Filadelfię i inne miasta wschodnie, jedna z nich wezwała mnie na swego dowódcę, czyli jak u nas mówią, kapitana.

Zgodziłem się chętnie, bo cuda wtedy opowiadano o Kalifornii, oddawna więc nosiłem się z zamiarem puszczenia się na daleki Zachód; nie mniej jednak nie ukrywałem sobie niebezpieczeństw tego przedsięwzięcia. Dziś przestrzeń z New Yorku do San Francisco przebywa się w tydzień koleją, a prawdziwa pustynia zaczyna się dopiero od Omaha; wtedy było zupełnie co innego. Wszystkie te miasta i miasteczka, których teraz między New Yorkiem a Chicago, jak maku, nie istniały jeszcze, a i samo Chicago, wyrosłe później, jak grzyb po deszczu, było tylko lichą i nieznaną osadą rybacką, której nie znalazłbyś na żadnej mapie. Trzeba więc było iść z wozami, ludźmi i mułami przez kraje zupełnie dzikie, a zamieszkane przez groźne plemiona Indyan: Kruków, Czarnonogich, Pawnisów, Siuksów i Arikarów, przed którymi ukryć się w większej liczbie ludzi było prawie niepodobieństwem, albowiem, ruchliwe, jak piasek, te pokolenia nie mają stałych siedlisk, ale jako myśliwskie, krążą po całej przestrzeni stepów za stadami bawołów i antylop. Groziły nam więc nie małe trudy; ale kto się wybiera na daleki Zachód, musi być na nie przygotowany, jak również i na to, że nieraz głowy nadstawić przyjdzie. Więcej też niż wszystkiego obawiałem się odpowiedzialności, jaką na siebie brałem; ponieważ jednak rzecz już była ułożona, nie było nic innego do roboty, tylko zająć się przygotowaniami do drogi. Trwały one przeszło dwa miesiące, bo trzeba było

sprowadzać wozy aż z Pennsylvanii i Pittsburga, kupować muły, konie, broń i czynić znaczne zapasy żywności. Ku końcowi jednak zimy wszystko było gotowe.

Chciałem wyruszyć tak, abyśmy wielkie stepy, leżące między Mississippi a górami Skalistemi, przebyli wiosną, wiedziałem bowiem, że latem, skutkiem upałów, panujących na tych odkrytych przestrzeniach, mnóstwo ludzi zapada na różne choroby. Z tego samego powodu postanowiłem nie prowadzić taboru południową drogą na St. Luis, ale na Jowę, Nebraskę i północne Kolorado. Była to droga niebezpieczniejsza ze względu na Indyan, ale bez wątpienia zdrowsza. Zamiar ten wzbudził z początku opór między ludźmi, należącymi do taboru, ale gdym oświadczył, aby jeśli nie chcą czynić wedle mej woli, szukali innego kapitana, po krótkim namyśle zgodzili się i z pierwszem tchnieniem wiosny ruszyliśmy w drogę. Zaczęły się zaraz dla mnie dni dość trudne, zwłaszcza nim się ludzie oswoili ze mną i z warunkami podróży. Osoba ma wzbudzała wprawdzie ufność, bo awanturnicze pochody moje do Arkanzasu zjednały mi pewną sławę między ruchliwą ludnością nadgraniczną, a imię "Big Ralf" (Wielki Ralf), pod którem mnie znano na stepach, odbiło się już nieraz o uszy większej części moich ludzi. Ale wogóle "kapitan", czyli dowódca, bywał z natury rzeczy często w położeniu bardzo względem emigrantów drażliwem. Do mnie należało wybierać obozowiska na noc, czuwać nad pochodem w dzień, mieć oko na cały tabor, ciągnący się czasem milę po stepie i wydawać pozwolenie na odpoczynek oddziałom, udającym się kolejno na wozy.

Amerykanie mają wprawdzie w sobie ducha organizacyi, posuniętego do wysokiego stopnia, ale w

miarę trudów w podróży, energia ludzka słabnie, zniechęcenie ogarnia najwytrwalszych, i wówczas nikomu nie chce się dniem harcować konno, nocą iść na straże, a każdy natomiast radby wymknąć się od przypadającej na niego kolei i leżeć po całych dniach na wozie. Przytem, w stosunkach z jankesami, kapitan musi umieć pogodzić karność z pewną poufałością koleżańską, co nie jest rzeczą łatwą. Bywało więc tak, że w czasie pochodu i w godzinach nocnych postojów byłem zupełnym panem woli każdego z moich towarzyszów, ale w czasie dziennych wypoczynków po fermach i osodach, które spotykaliśmy z początku na drodze, kończyła się i moja rola rozkazodawcy. Wówczas każdy był sobie panem i nieraz musiałem zwalczać opór zuchwałych awanturników; ale gdy wobec licznych "ringów" okazało się pokilkakroć, że moja mazowiecka pięść silniejszą jest od amerykańskich, zaraz urosło moje znaczenie, i później nie miałem nigdy żadnych zajść osobistych. Zresztą znałem już na wylot charakter amerykański, wiedziałem więc jak sobie radzić, a przytem wytrwania i zachęty dodawała mi pewna para niebieskich oczu, spoglądająca na mnie z pod płóciennego dachu wozu ze szczególnem zajęciem. Oczy te, patrzące z pod czoła ocienionego bujnym złotym włosem, należały do młodej dziewczyny imieniem Lilian Moris, rodem z Massachussets z Bostonu. Była to istota delikatna, wiotka, o rysach drobnych i twarzy smutnej, pomimo iż prawie dziecinnej.

Smutek ten w tak młodej dziewczynie uderzył mnie zaraz z początku podróży, ale wkrótce zajęcia, związane z rolą kapitana, zwróciły mój umysł i uwagę gdzieindziej. Przez pierwsze tygodnie, prócz zwykłych codziennych: "Good morning!" zamienialiśmy zaledwie parę słów innych. Litując się jednak nad młodością i osamotnieniem Lilian, nie było bowiem nikogo z jej krewnych w całej karawanie, oddałem biednej dziewczynie kilka małych usług. Osłaniać ją moją powagą dowódcy i pięścią od natarczywości młodych ludzi, podróżujących razem, nie miałem najmniejszej potrzeby, albowiem pomiędzy Amerykanami najmłodsza kobieta może być pewna, jeśli nie nadskakującej grzeczności, jaką odznaczają się Francuzi, to przynajmniej zupełnego bezpieczeństwa. Ze względu jednak na delikatne zdrowie Lilian, umieściłem ją w najwygodniejszym ze wszystkich wozie, prowadzonym przez wielce wielce doświadczonego woźnicę Smitha; sam usłałem jej siedzenie, na którem w nocy mogła sypiać wygodnie, wreszcie oddałem jej na użytek ciepłą skórę bawolą, których kilka miałem w zapasie. — Lubo przysługi te mało były znaczące, Lilian zdawała się czuć za nie żywą wdzięczność i nie pominęła żadnej sposobności, przy której mogła i mnie ją okazać. Było to stworzenie widocznie bardzo łagodne i nieśmiałe. Dwie kobiety: ciotka Grossvenor i ciotka Atkins, które dzieliły z nią wóz, pokochały ją wkrótce niezmiernie za słodycz jej charakteru, przezwisko zaś: "Little Bird" (mały ptaszek), nadane jej przez nie, stało się wkrótce mianem, pod którem znano ją w całym obozie. Z tem wszystkiem między mną a Małym Ptaszkiem nie było najmniejszego zbliżenia, pókim nie dostrzegł, że błękitne a prawie anielskie oczy tego dziewczątka zwracają się za mną ze szczególniejszą jakąś sympatyą i uporczywem zajęciem.

Można to sobie było wytłómaczyć tem, że między wszystkimi ludźmi, należącymi do taboru, ja jeden miałem trochę oglądy towarzyskiej; Lilian

więc, po której znać także było staranniejsze wychowanie, widziała we mnie kogoś bliższego siebie, niż reszta otoczenia. Ale wtedy ja tłómaczyłem to sobie trochę inaczej, i zajęcie się jej połechtało moją próżność, próżność zaś sprawiła, żem sam zaczął być na Lilian uważniejszym i częściej jej w oczy zaglądać. Wkrótce potem sam już sobie nie umiałem zdać sprawy, jakim sposobem to się stało, że dotąd nie zwróciłem żadnej prawie uwagi na tak wyborną istotę, która każdego posiadającego serce człowieka odrazu tkliwemi mogła natchnąć uczuciami. Odtąd też lubiłem kręcić się na koniu koło jej wozu. W czasie upału dziennego, który pomimo wczesnej wiosennej pory mocno nam w godzinach południowych dokuczał, gdy muły wlokły się leniwo, a karawana rozwłóczyła się tak po stepie. że stojąc przy pierwszym wozie, ledwie można było dostrzedz ostatni, przelatywałem często z końca w koniec, zajeżdżając bez potrzeby konie, by tylko w przelocie zobaczyć tę jasną główkę i te oczy, prawie mi już z myśli nie schodzące. Z początku wyobraźnia moja bardziej była zajęta, niż serce, jednak myśl, że wśród tych obcych ludzi nie jestem zupełnie obcym, ale mam jedną maleńką duszę sympatyczną, zajmującą się mną trochę, lubej dodała mi otuchy. Może to już i nie pochodziło z próżności, lecz z potrzeby, którą na ziemi człowiek czuje, aby nie rozpraszać myśli i serca na tak nieokreślone i ogólne przedmioty, jakiemi są lasy tylko i stepy, ale aby te skupić na jedną żywą, kochaną istotę i zamiast gubić się w jakichś oddaleniach i nieskończonościach, odnaleźć samego siebie w sercu bliz kiem.

Uczułem się tedy mniej samotnym, i cała podróż nowych, nieznanych dotąd nabrała dla mnie

powabów. Dawniej, gdy karawana rozciągała się tak, jak wspomniałem, po stepie, iż ostatnie zaprzęgi nikły z oczu, widziałem w tem tylko brak ostrożności i nieporządek, za który gniewałem się mocno. — Teraz, gdym zatrzymał się na jakiej wyniosłości, — widok tych wozów białych i pasiastych, oświetlonych słońcem i nurtujących na kształt okrętów w morzu traw, widok konnych i zbrojnych ludzi, rozrzuconych w malowniczym nieładzie obok pociągów napełniał duszę moją zachwytem i błogością. I nie wiem skąd mi się brały takie porównania, ale zdawało mi się, że to jakiś tabór biblijny, który ja, jakby patryarcha, wiodę do Ziemi Obiecanej. Dzwonki na uprzężach mułów i śpiewne: "get up!" woźniców wtórowały wtedy, jakby muzyka, myślom moim, pobudzanym przez serce i przyrodzenie.

Jednakże z Lilian od owej rozmowy oczu nie przechodziliśmy prawie do innej, bo krępowała mnie obecność kobiet, razem z nią jadących. Przytem od czasu, jakem spostrzegł, że tam jest już coś między nami, czego sam jeszcze nie umiałem nazwać, — a przecie czułem, że było, ogarnęła mnie jakaś dziwna nieśmiałość. Podwoiłem jednak swoją troskliwość o kobiety i często zaglądałem do wozu, pytając o zdrowie ciotkę Atkins i ciotkę Grossvenor, aby tym sposobem usprawiedliwić i zrównoważyć starania, jakiemi otoczyłem Lilian. Ona jednak rozumiała doskonale tę moją politykę, i porozumienie to stanowiło jakby naszą tajemnicę, ukrytą dla reszty towarzyszów.

Wkrótce jednak spojrzenia, przelotna zamiana słów i tkliwe starania już mi nie mogły wystarczyć. Ta dziewczyna z jasnymi włosami i słodkiem spojrzeniem ciągnęła mnie ku sobie z nieprzepartą jakąś siłą. Począłem o niej myśleć po całych dniach, a

nawet nocą; gdy zmęczony objazdem straży i ochrypły od nawoływań: "All's right!" wszedłem wreszcie na wóz i owinąwszy się skórą bawolą, zamknąłem oczy, aby usnąć — zdawało mi się, że owe komary i moskity brzęczące koło mnie, śpiewają mi bez ustanku do ucha imię: "Lilian! Lilian! Lilian!" Postać jej stawała przy mnie w snach moich; po przebudzeniu, pierwsza myśl leciała do niej, jakby jaka jaskółka; a jednak, dziwna rzecz! nie spostrzegłem od razu, że ten luby powab, jakiego nabrało dla mnie wszystko, i to malowanie w duszy przedmiotów złotymi kolorami, i te myśli, płynące za jej wozem, to nie przyjaźń ani przychylność dla sieroty, ale mocniejsze daleko uczucie, od którego nikt się nie obroni, gdy na niego kolej przyjdzie.

Byłbym się może wcześniej spostrzegł, gdyby nie to, że słodycz charakteru Lilian ujmowała sobie wszystkich; myślałem więc, że zostaję pod urokiem tego dziewczęcia nie więcej od innych. Wszyscy kochali ją jak dziecko własne i dowody tego codziennie miałem przed oczyma. Towarzyszki jej były to kobiety proste i dość do swarów pochopne, a jednak nieraz widziałem ciotkę Atkins, największego w świecie Heroda, jak czesząc rankami włosy Lilian, całowała je z serdecznością matki, podczas gdy Missis Grossvenor tuliła w rękach dłonie dziewczynki, które były zziębły wśród nocy. Mężczyźni otaczali ją również troskliwością i staraniami. Był w karawanie niejaki Henry Simpson, młody awanturnik z Kanzas, nieustraszony strzelec i poczciwy w gruncie chłopak, ale tak ufny w siebie, zuchwały i gburowaty, że w pierwszym zaraz miesiącu musiałem go po dwakroć obić, aby go przekonać, że jest ktoś silniejszy od niego w pięści, a starszy znaczeniem w obozie. Otóż trzeba było widzieć tego

samego Henryka, rozmawiającego z Lilian: on, który niby sobie nie robił z samego prezydenta Unii, wobec niej tracił całą pewność i śmiałość, odkrywał głowę i powtarzając co chwila: "I beg your pardon, Miss Morris!" miał zupełnie minę brytana na łańcuchu. Ale widać było, że ów brytan gotów jest słuchać każdego skinienia tej małej półdziecinnej rączki. Na popasach starał się też zawsze być przy Lilian, aby mu łatwiej było oddawać jej rozmaite drobne przysługi. Rozpalał ognisko, wybierał jej miejsce zabezpieczone od dymu, usławszy je pierwej mchem i własnemi derami; wybierał dla niej najlepsze kawałki zwierzyny; czynił zaś to wszystko z nieśmiałą jakąś troskliwością, której się po nim nie spodziewałem, a która budziła jednak we mnie pewną niechęć, bardzo do zazdrości podobną.

Ale mogłem się tylko gniewać, nic więcej. — Henry, jeśli nie na niego przypadała kolej straży, mógł czynić ze swoim czasem co mu się podobało, zatem być blizko Lilian; tymczasem moja kolej nie kończyła się nigdy. W drodze wozy ciągnęły jeden za drugim, często bardzo od siebie daleko; za to gdy weszliśmy już w kraje puste, na południowe odpoczynki, stawiałem je wedle obyczaju stepowego w jednej poprzecznej linii, zwartej tak, iż między kołami ledwie człowiek mógł się przecisnąć. — Trudno przewidzieć, ile ponosiłem trudów i pracy, nim taka linia, łatwa do obrony, została uformowana. Muły, z natury dzikie i nieposłuszne zwierzęta, zamiast stawać w szeregu, albo upierały się na miejscu, albo nie chciały zejść na bok z utartej kolei, gryząc się przytem, kwicząc i wierzgając; wozy skręcane nagłym ruchem, przewracały się często, a podnoszenie tych prawdziwych domów z drzewa i płótna, niemało zabierało czasu; kwik mułów, kląt-

wy woźniców, brzęk dzwonków i szczekania psów, wlokących się za nami, sprawiały piekielny hałas. Gdym jako tako przyprowadził wszystko do ładu, musiałem jeszcze pilnować wyprzęży zwierząt i kolejników, mających pognać je na pastwisko, a następnie do rzeki. A tymczasem ludzie, którzy w czasie pochodu pogrążyli się byli w step dla polowania, ściągali ze wszystkich stron ze zwierzyną, ogniska były poobsiadane, ja zaś zaledwie znajdowałem dosyć czasu, aby pożywić się i odetchnąć.

Prawie podwójną miałem robotę, gdy po skończonym wypoczynku ruszyliśmy naprzód, bo zaprzęganie mułów więcej jeszcze za sobą rozhoworów i wrzawy niż wyprzęganie pociągało. Przytem woźnice starali się zawsze jeden przed drugim wyruszyć, aby potem oszczędzić sobie zjeżdżania w bok po złym nieraz gruncie. Powstawały stąd zatargi, kłótnie, przekleństwa i przykre zwłoki w podróży. Nad wszystkiem tem musiałem czuwać, a w czasie pochodu jechać na przodzie zaraz za przewodnikami, by i okolicę przepatrywać i wcześnie miejsca ochronne, obfitujące w wodę i wogóle przydatne do noclegu wybierać. Często przeklinałem moje obowiązki kapitana, luboć z drugiej strony napełniała mnie dumą myśl, że na całej tej pustyni bez końca pierwszym jestem wobec pustyni samej, wobec ludzi, wobec Lilian, i że los tych wszystkich istot, — błądzących z wozami po stepie, w moich jest ręku.

II.

Pewnego razu, po przejściu już Mississipi, zatrzymaliśmy się na nocleg przy rzece Cedar, której brzegi, obrosłe drzewem bawełnianem, dawały nam pewność opału na całą noc. Wracając od kolejników, którzy poszli z siekierami w gęstwinę, spostrzegłem z daleka, że ludzie nasi, korzystając widocznie z pięknej pogody i cichego ciepłego dnia, rozeszli się na wszystkie strony z taboru w step. — Było jeszcze bardzo wcześnie, zwykle bowiem o piątej już z wieczora stawaliśmy na noc, by nazajutrz o pierwszym brzasku dnia wyruszyć. Niebawem spotkałem Miss Morris. Zsiadłem zaraz z konia i zwiąwszy go za lejce, zbliżyłem się do niej uszczęśliwiony, że mogę choć na chwilę być z nią sam na sam. Począłem ją wypytywać o powody, dla których tak młoda i sama postanowiła puścić się w tę drogę, wyczerpującą siły najtęższych mężczyzn.

— Nigdybym się nie zgodził—mówiłem—przyjąć pani do karawany naszej, ale przez pierwsze dni sądziłem, że jesteś córką ciotki Atkins, dziś zaś cofać się byłoby za późno. Czy jednak znajdziesz dość sił, drogie dziecko? bo musisz być przygotowaną, iż dalsza podróż nie pójdzie tak łatwo, — jak dotąd.

— Sir! — odrzekła na to, podnosząc na mnie swoje błękitne smutne oczy, — wiem o tem wszyst-

kiem, ale muszę jechać i prawie szczęśliwa jestem, że cofnąć się już niepodobna. Ojciec mój jest w Kalifornii, i z listu, który mi przysłał naokół Cap Horn, dowiedziałam się, że już od kilku miesięcy leży chory na febrę w Sacramento. Biedny ojciec! przyzwyczajony był do wygód i do mojej opieki — i dla mnie tylko udał się do Kalifornii. Nie wiem, czy go jeszcze zastanę przy życiu, ale czuję, że jadąc do niego, spełniam tylko słodką powinność.

Nie było co odrzec na takie słowa; zresztą wszystko, cobym mógł nadmienić przeciw temu przedsięwzięciu, byłoby niewczesne. Począłem więc tylko wypywać Lilian o bliższe szczegóły, tyczące się jej ojca, które opowiadała z wielką chęcią, a z których dowiedziałem się, że Mr. Morris był "judge of the supreme court", czyli sędzią najwyższego stanowego trybunału w Bostonie; następnie, straciwszy majątek, udał się do nowo odkrytych kopalni kalifornijskich, gdzie spodziewał się odbudować straconą fortunę i córce, którą kochał nad życie, przywrócić dawne stanowisko towarzyskie. Ale tymczasem zachorował na febrę w niezdrowej dolinie Sacramento, i sądząc, że umrze przesłał Lilian ostatnie błogosławieństwo. Wówczas ona, zebrawszy wszystkie zapasy, jakie był jej pozostawił, postanowiła udać się za nim. Początkowo miała zamiar jechać drogą morską, ale znajomość zrobiona wypadkowo z ciotką Atkins, na dwa dni przed wyruszeniem taboru, zmieniła jej postanowienie. Ciotka Atkins bowiem, będąc rodem z Tenessee i mając pełne uszy wieści, jakie przyjaciele moi z nad brzegów Mississippi opowiadali sobie i innym o moich zuchwałych wyprawach do osławionego Arkanzasu, o doświadczeniu w podróżach przez pustynie i o opiece, jakiej udzielałem słabym (com sobie uważał

za prosty obowiązek), w takich odmalowała mnie przed Lilian kolorach, że dziewczynka, nie namyślając się dłużej, przyłączyła się do karawany, idącej pod moją wodzą. Tym to przesadnym opowiadaniom ciotki Atkins, która nie omieszkała była dodać, że jestem "knight'em", czyli rycerzem z urodzenia, przypisać należało zajęcie się panny Morris moją osobą.

— Luba i mała istoto! — rzekłem, gdy skończyła opowiadanie: — możesz być pewna, że nikt ci tu krzywdy nie uczyni, i że ci opieki niezbraknie; co zaś do twego ojca, to Kalifornia jest najzdrowszym krajem w świecie i z febry tamtejszej nikt nie umiera. W każdym razie, póki ja żyję, nie możesz zostać samą, a tymczasem niech Bóg błogosławi twojej słodkiej twarzy!

— Dziękuję kapitanie! — odpowiedziała ze wzruszeniem, i szliśmy dalej, tylko że mi serce biło coraz mocniej.

Zwolna rozmowa nasza stała się coraz weselszą, i żadne z nas nie przewidywało, że po chwili zachmurzy się niespodzianie ta pogoda, która była nad nami.

— Wszakże tu wszyscy dobrzy są dla pani, — Miss Morris? — pytałem znowu, nie przypuszczając ani na chwilę, że właśnie to pytanie stanie się powodem nieporozumienia.

— O! tak — odrzekła — wszyscy! i ciotka Atkins, i ciotka Grossvenore i Henry Simpson... on także jest bardzo dobry.

Ta wzmianka o Simpsonie zadrasnęła mnie nagle, jak ukąszenie węża.

— Henry jest mulnikiem — odpowiedziałem sucho — i powinien wozów pilnować.

Ale Lilian, zajęta przebiegiem własnych myśli,

nie dostrzegła zmiany w moim głosie i mówiła dalej, jak gdyby sama do siebie:

— On ma poczciwe serce, i całe życie będę mu wdzięczną.

— Miss! — przerwałem wtedy, ukłóty do najwyższego stopnia — możesz mu nawet oddać rękę; dziwię się jednak, że mnie wybierasz na powiernika swych uczuć.

Gdym to rzekł, spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale nie odrzekła nic, i szliśmy obok siebie w przykrem milczeniu. Nie wiedziałem co do niej mówić, a serce moje było pełne goryczy i gniewu na nią i na siebie samego. Czułem się poprostu upokorzony tą zazdrością względem Simpsona, a jednak nie mogłem się jej obronić. Położenie to tak mi się wydało nieznośne, że nagle rzekłem do Lilian krótko i sucho:

— Dobranoc Miss!

— Dobranoc! — odpowiedziała cicho, odwracając przytem głowę, aby ukryć dwie łzy, spływające jej po policzkach.

Siadłem na koń i ruszyłem powtórnie w stronę, skąd dochodził mnie łoskot siekier, i gdze między innymi Henry Simpson rąbał także drzewo bawełniane. Ale po chwili zdjął mnie jakiś żal niezmierny, bo mi się zdawało, że te dwie łzy upadły mi na serce. Zawróciłem konia i w jednej minucie byłem znów przy niej. Zeskoczywszy z siodła, zastąpiłem jej drogę:

— Czego płaczesz, Lilian? — spytałem.

— O, sir! — odrzekła — wiem, że pochodzisz ze szlachetnej rodziny, bo mi to mówiła ciotka Atkins, ale byłeś tak dobry dla mnie...

Czyniła wszystko, żeby nie płakać, ale nie mogła się powstrzymać, nie mogła dokończyć odpowiedzi, bo łzy tłumiły jej głos. Biedactwo czuło się do głębi swej smutnej duszy dotknięte moją odpowiedzią, bo widziało w niej jakąś arystokratyczną pogardę; a mnie się ani śniło o żadnej arystokracyi, tylko poprostu byłem zazdrosny, a teraz, widząc ją tak rozżaloną, miałem ochotę porwać się za kołnierz i obić. Chwyciwszy jej rękę, począłem mówić żywo:

— Lilian! Lilian! nie zrozumiałaś mnie. Boga biorę na świadka, że nie żadna duma mówiła przeze mnie. Patrz prócz tych dwóch rąk, nie mam nic więcej na świecie, więc co mi tam znaczą moje rodowody. Co innego mnie zabolało, i chciałem odejść, ale nie mogę znieść twoich łez. I na to przysięgam ci także, że to, com powiedział, mnie więcej boli, niż ciebie. Nie jesteś dla mnie obojętną, Lilian, o! wcale nie! bo inaczej niebyby mnie nie obchodziło, co myślisz o Henry'm. On jest poczciwy chłopak, ale to nie należy do rzeczy. Widzisz oto, ile mnie kosztują twoje łzy, więc mi przebacz tak szczerze, jak szczerze cię o przebaczenie proszę.

Tak mówiąc, podniosłem jej rękę i przycisnąłem ją do ust, a ten wysoki dowód czci i prawda, jaka brzmiała w mej prośbie, zdołały uspokoić cokolwiek dziewczynkę. Nie przestała zaraz płakać, ale były to już inne łzy, bo widać było przez nich uśmiech, jakby promyk z pod mgły. Mnie także dusiło coś w gardle, i nie mogłem się opędzić wzruszeniu. Jakieś tkliwe uczucie opanowało mi serce. Szliśmy teraz znowu w milczeniu, ale było nam koło siebie dobrze i słodko. Tymczasem dzień schylił się ku wieczorowi; pogoda była śliczna, a w zmroczonem już trochę powietrzu tyle światła, że i cały step, i dalekie kępy drzew bawełnianych, i wozy w

naszym taborze, i sznury dzikich gęsi, ciągnące na północ po niebie, wydawały się złote i różowe. — Najmniejszy wiatr nie poruszał traw; z daleka dochodził nas szum wodospadów, jakie w tem miejscu tworzyła rzeka Cedar, i rżenie koni ze strony obozu. Ten wieczór taki uroczy, ta kraina dziewicza i obecność przy mnie Lilian, wszystko to tak nastroiło mnie jakoś, że prawie dusza chciała wylecieć ze mnie i lecieć gdzieś aż do nieba. Myślałem sobie, że byłem jakby dzwon rozkołysany. Chwilami miałem ochotę wziąć znowu rękę Lilian, przyłożyć ją do ust moich i nie odejmować jej bardzo długo. Ale bałem się, że ją to obrazi. Ona tymczasem szła koło mnie spokojna, łagodna i zamyślona. Łzy jej już oschły; kiedy niekiedy podnosiła na mnie swoje świetliste oczy, potem zaczęliśmy znów rozmawiać — i tak doszliśmy aż do obozu.

Dzień ten, w którym doznałem tylu wzruszeń, miał się zakończyć jednak wesoło, albowiem ludzie, zadowoleni z pięknej pogody, postanowili wyprawić sobie "pic-nic", czyli zabawę pod gołem niebem. Po sutszej niż zwykle wieczerzy, rozniecono jedno wielkie ognisko, przy którem miały się odbywać tańce. Henry Simpson umyślnie wyskubał trawę na przestrzeni kilku sążni kwadratowych i, ubiwszy ziemię na kształt klepiska, posypał ją piaskiem, przyniesionym z nad Cedar. Gdy widzowie zebrali się dokoła, dopieroż na tak przygotowanem miejscu począł, przy towarzyszeniu piszczałek murzyńskich, tańczyć "dżiga" z powszechnem wszystkich podziwieniem. Zwiesiwszy ręce po bokach, całe ciało trzymał nieruchomie, nogami zaś przebierał tak szybko, uderzając naprzemian ziemię piętą lub palcami, że ruchu ich prawie niepodobna było okiem ułowić. Tymczasem piszczałki grały zapamiętale;

wystąpił drugi tancerz, trzeci i czwarty — i uciecha stała się ogólną. Do murzynów, grających na piszczałkach, przyłączyli się i widzowie, brząkając w blaszane miski, przeznaczone do płókania ziemi złotodajnej, lub bijąc takt z pomocą kawałków żeber wołowych, pozasadzanych między palce u każdej ręki, co wydawało odgłos podobny do chrzęstu kastanietów. Nagłe wołania: "Minstrele! minstrele!" rozległy się po całym obozie, widzowie utworzyli "ring", czyli pierścień wokół tanecznego miejsca, na środek zaś wystąpili nasi murzyni: Dżim i Crow, z których pierwszy trzymał bębenek, obciągnięty wężową skórą, drugi wspomniane kawałki żeber. Przez chwilę obaj patrzali na siebie, przewracając białkami oczu; następnie zaczęli śpiewać pieśń murzyńską, przerywaną tupaniem i gwałtownymi rzutami ciała, czasem smutną, a czasem dziką. Przeciągłe: "Dinah! ah! ah!" którem kończyła się każda zwrotka zmieniło się wreszcie w krzyk i niemal zwierzęce wycie. W miarę też, jak tańcownicy rozgrzewali się i podniecali, ruchy ich stawały się coraz zapamiętalsze, a nakoniec zaczęli uderzać się wzajemnie głowami z siłą, od której czaszki europejskie pękłyby, jak łupiny orzechów. Czarne te postacie, oświetlone jaskrawym blaskiem ognia i rzucające się w szalonych podskokach, fantastyczny istotnie przedstawiały widok. Do wrzasków ich, od odgłosów bębna, piszczałek, blaszanych misek i do klekotu żeber mieszały się okrzyki widzów: "Hurra for Dżim! hurra for Crow!" a nawet i wystrzały z rewolwerów. Gdy wreszcie czarni zmęczyli się i, padłszy na ziemię, poczęli robić piersiami i dyszeć, kazałem im dać po łyku "brandy", co zaraz postawiło ich na nogi. Ale w tem poczęto na mnie krzyczeć o "speach"; w jednej chwili wrzawa

i odgłosy muzyki ucichły, ja zaś musiałem puścić ramię Lilian i, wlazłszy na kozieł wozu, zwróciłem się do obecnych. Gdym spojrzał z wysokości na te postacie oświetlone płomieniem ognisk, rosłe, barczyste, brodate, z nożami za pasem i w kapeluszach z poobdzieranemi kaniami, zdawało mi się, że jestem na jakowemś teatrum, lub że zostałem dowódcą rozbójników. Ale były to poczciwe, dzielne serca, choć surowe życie niejednego z tych ludzi było może burzliwe i wpół dzikie; tu jednak stanowiliśmy jakby świat maleńki, od reszty społeczności oderwany i w sobie zawarty, na wspólne przeznaczony losy i wspólnem niebezpieczeństwem zagrożony. Tu ramię musiało wspierać ramię; jeden czuł się drugiemu bratem, a one bezdroża i pustynie bez końca, któremi byliśmy otoczeni, nakazały owym hartownym górnikom miłować się wzajemnie. Widok Lilian, biednej, bezbronnej dziewczyny, spokojnej wśród nich i bezpiecznej, jak gdyby pod rodzicielskim dachem, napędził mi te myśli do głowy, więc wypowiedziałem wszystko tak, jako właśnie czułem i jak przystało na żołnierza-dowódcę, a zarazem brata wędrowców. Co chwila przerywali mi okrzykami: "Hurra for Pole! hurra for captain! hurra for Big Ralf!" i klaskaniem w ręce; a co mnie już uszczęśliwiło najwięcej, to gdym zobaczył między seciną tych ogorzałych, potężnych dłoni jedną parę malutkich rączek, różowych od blasku ognia i latających. jakby para białych gołąbków. Wtedy naraz uczułem, że co mi tam ta pustynia, i dzikie zwierzęta, i Indyanie, i "outlawy"; krzyknąłem więc z zapałem wielkim, że "dam sobie ze wszystkimi radę; pobiję, kto mi w drogę wlezie i poprowadzę tabor choćby na koniec świata — i niech Bóg potępi moją prawą rękę, jeśli to nie jest prawda!"

Jeszcze głośniejsze "hurra!" odpowiedziało na takowe moje słowa, a w uniesieniu wielkiem wszyscy poczęli śpiewać pieśń emigrancką: — "I crossed Mississipi, i shall cross Missouri" (Przeszedłem Mississippi, przejdę i Missouri). Potem mówił jeszcze Smith, najstarszy między emigrantami, górnik z okolic Pitsburga z Pensylwanii, który złożył mi podziękowanie w imieniu całego obozu, przyczem wychwalał moją biegłość w prowadzeniu taboru — po Smithie zaś prawie na każdym wozie ktoś przemawiał. Niektórzy mówili bardzo ucieszne rzeczy, mianowicie Henry Simpson, który co chwila wykrzykiwał: "Gentlemanowie! chcę być powieszonym, jeśli nie mówię prawdy!" Gdy wreszcie mówcy ochrypli, ozwały się zaraz piszczałki, grzechotki, znowu poczęto tańczyć dżiga. Tymczasem noc zapadła zupełna, księżyc wytoczył się na niebo i świecił tak mocno, że płomienie ognisk prawie bladły od jego blasku, a ludzie i wozy byli oświetleni podwójnem, czerwonem i białem, światłem. Była to śliczna noc.

Wrzawa naszego obozu dziwną, ale lubą przedstawiała antytezys z cichością i głębokiem uspieniem stepu.

Wziąwszy Lilian pod rękę, chodziłem z nią po całym obozie, a wzrok nasz od ognisk biegł na daleköść i gubił się w fali wysokich a cienkich badylków stepowych, srebrnych od promieni miesiąca i tak tajemniczych, jakoby duchy. Tak błądziliśmy przy sobie, a tymczasem, przy jednem ognisku, — dwóch Szkotów "highlanderów" poczęło grać na kobzach swoją górską smutną piosenkę: "Bonia Dundee". Stanęliśmy oboje opodal i słuchali przez jakiś czas w milczeniu; nagle ja spojrzałem na nią, ona spuściła oczy — i sam nie wiedząc dla czego,

tę jej rękę, która wspierała się na mojem ramieniu, przycisnąłem do piersi mocno i długo.

W Lilian też biedne serduszko zaczęło kołatać tak silnie, żem je czuł jakby na dłoni; drżeliśmy oboje, bośmy poznali, że się coś tam już między nami staje, coś się przesila, i że już nie będziemy z sobą tak, jak dotąd. Alem już płynął, gdzie mnie ta fala niosła. Zapomniałem, że noc tak jasna, że niedaleko są ogniska, a przy nich ludzie, i chciałem jej zaraz do nóg padać, albo przynajmniej patrzeć w jej oczy. Ale ona, choć z kolei przytuliła się także do mego ramienia, odwracała głowę, jakby rada ukryć się w cieniu. Chciałem mówić i nie mogłem, bo mi się zdawało, że się jakimś nieswoim głosem odezwę, lub, że gdy powiem Lilian słowo: "kocham", to chyba padnę. Nieśmiały byłem, bo młody i nie samymi zmysłami tylko, ale duszą takoż wiedziony; a i to czułem dobrze, że gdy raz powiem: "kocham", to na całą moją przeszłość padnie zasłona, i jedne drzwi się zamkną, drugie otworzą, przez które wejdę w nowy jakiś kraj. Więc choć tam szczęście widziałem za onym progiem, przeciem się na nim zatrzymał, może właśnie dlatego, że mnie ta jasność stamtąd bijąca olśniła. Przytem, gdy się kochanie rwie nie z ust, ale z serca, to chyba o niczem nie jest tak trudno mówić.

Odważyłem się przycisnąć do piersi rękę Lilian, milczeliśmy zaś oboje, bom o miłości mówić nie śmiał, o czem innem nie chciałem — i nie można było w takiej chwili.

Skończyło się na tem, żeśmy oboje podnieśli głowy do góry i patrzali w gwiazdy, jak ludzie, co się modlą. Wtem zawołano na mnie od wielkiego ogniska; wróciliśmy oboje — zabawa kończyła się: by zakończyć ją godnie i przystojnie, emigranci

przed pójściem na spoczynek postanowili śpiewać psalmy. Mężczyźni poodkrywali głowy, a chociaż byli między nami ludzie wiar rozmaitych, wszyscy uklękliśmy na murawie stepowej i zaśpiewali psalm "Błądząc po puszczy". Widok to był bardzo rozrzewniający. W chwilach przestanków, cisza zapadała tak poważna, że słychać było trzask iskier w ogniskach, z nad rzeki zaś dochodził szum wodospadów. Klęcząc koło Lilian, raz lub dwa razy spojrzałem na nią: oczy miała dziwnie błyszczące, do nieba podniesione, włosy trochę w nieładzie i, śpiewając pobożnie, tak była podobna do anioła, że prawie do niej można się było modlić.

Po skończonej modlitwie, ludzie rozeszli się do wozów, ja objechałem wedle zwyczaju straże, a potem również udałem się na spoczynek. Ale gdy dziś muszki nocne zaczęły mi śpiewać do ucha, jako codziennie: "Lilian! Lilian!" — wiedziałem już, że tam na wozie śpi źrenica oka mego i dusza mojej duszy — i że na wszystkich światach nie mam nikogo droższego nad tę jedną dziewczynę.

III.

Świtaniem dnia następnego przeszliśmy szczęśliwie Cedar i wjechali na równy, przestronny step, ciągnący się między tą rzeką a Winnebago, skręcając nieznacznie ku południowi, aby zbliżyć się do pasma lasów, zalegających dolną granicę Jowy. — Lilian od rana nie śmiała mi w oczy spojrzeć. Widziałem, że była zamyślona; zdawało się, że się czegoś wstydzi, lub czemś martwi; a cóż tam przecie za grzech popełniliśmy wczoraj! Nie schodziła prawie z wozu. Ciotka Atkins i ciotka Grossvenore, myśląc, że jest chora, otoczyły ją pieszczotami i staraniem. Ja tylko jeden wiedziałem, co się to znaczy, i że to ani słabość, ani udręczenie sumienia, ale to walka istoty niewinnej z tem przeczuciem, że jakaś siła nowa a nieznana porwie ją i poniesie, jako liść, gdzieś daleko. To było jasnowidzenie, że już niema rady i że prędzej czy później przyjdzie osłabnąć i oddać się na wolę tej siły i zapomnieć o wszystkiem — i tylko kochać.

Dusza czysta ociąga się i boi na progu miłości, ale czując, że go przestąpi, słabnie. Lilian więc była jakoby snem zmorzona; mnie zaś, gdym wyrozumiał to wszystko, radość tamowała prawie dech w piersiach. Nie wiem, czy było poczciwe to uczucie, ale gdym rankiem przelatywał koło jej wozu, widząc ją taką złamaną jako kwiat, czułem coś ta-

kiego, co czuje drapieżny ptak, gdy pozna, że mu już gołąb nie ucieczе. A przecie temu gołąbkowi nie zrobiłbym krzywdy za żadne skarby świata, bo zarazem miałem w sercu litość ogromną. Dziwna rzecz jednak: mimo najsłodszych uczuć dla Lilian, przeszedł nam dzień ten cały jakby we wzajemnej urazie, a przynajmniej w zakłopotaniu wielkiem. Łamałem sobie głowę, w jaki sposób możnaby choć na chwilę być z Lilian sam na sam, i nie umiałem nic znaleźć. Na szczęście przyszła mi w pomoc ciotka Atkins, oświadczając, że maleńka potrzebuje więcej ruchu, i że siedzenie w zadusznym wozie szkodzi jej zdrowiu. Wpadłem na myśl, że powinna jeździć konno, i kazałem Simpsonowi osiodłać dla niej konia, a choć nie było w taborze siodeł damskich, — jedna z takich meksykańskich kulbak o wysokiej kuli, jakich powszechnie używają na pograniczach pustyń kobiety, służyć mogła wybornie. Zabroniłem Lilian oddalać się od karawany tak, aby ją miała tracić z oczu. Zabłąkać się w jednostajnym stepie było dość trudno, bo ludzie, których wysyłałem za zwierzyną, krążyli w znacznej odległości na wszystkie strony od taboru, zawsze więc można było kogoś z nich spotkać. Ze strony Indyan nie groziło także żadne niebezpieczeństwo, ta bowiem część stepu, aż do Winnebago, nawiedzaną bywała przez Pawnisów tylko w czasie wielkich łowów, które nie były się rozpoczęły. Za to południowy leśny szlak obfitował w zwierzynę, nietylko trawożerną; ostrożność więc nie była zbyteczna.

Prawdę rzekłszy, sądziłem, że Lilian będzie się trzymała dla bezpieczeństwa mego boku, coby nam pozwoliło być dosyć często sam na sam, zwykle bowiem wysuwałem się w czasie pochodu daleko naprzód, mając przed sobą tylko dwóch przewodników

Metysów, za sobą cały tabor. Jakoż tak się stało, i pierwszego zaraz dnia czułem się prawdziwie i niewypowiedzianie szczęśliwy, widząc słodką moją amazonkę, nadbiegającą lekkim galopem od strony taboru. Ruch konia rozwiązał jej włosy, zatarg zaś z sukienką, cokolwiek do konnej jazdy przykrótką, umalował jej twarz ślicznem zakłopotaniem. Zbliżywszy się, cała była jakby róża, bo wiedziała, że idzie w sidła zastawione przeze mnie na to, byśmy byli tylko we dwoje, a wiedząc o tem, jednak szła, choć spłoniona, i niby niechcąca, i niby udająca, że się na niczem nie poznaje. Mnie zaś serce biło jakby żakowi i, gdy konie nasze zrównały się, zły byłem na siebie, bo nie wiedziałem co mówić. I zaraz słodkie a mocne chęci poczęły iść z nas ku sobie, żem się, przez siłę jakąś niewidzialną party, pochylił ku Lilian, niby dla poprawienia czegoś w grzywnie jej konia, a tymczasem usta przycisnąłem do ręki jej, opartej na kuli od siodła. Szczęście jakieś nieznane i niewypowiedziane, większe i mocniejsze od wszystkich rozkoszy, jakich doznawałem w życiu, rozeszło się po kościach moich. Potem tę małą dłoń przycisnąłem do serca i począłem mówić do Lilian, że gdyby mi Bóg darował właśnie wszystkie królestwa na ziemi i wszystkie skarby na świecie, to jużbym nie oddał za nie jednego zwitka jej włosów, bo mnie zabrała z duszą i ciałem na zawsze.

— Lilian! Lilian! — mówiłem dalej — nie opuszczę cię nigdy i pójdę za tobą przez góry i pustynię, i stopy twoje będę całował, i modlił się do ciebie, tylko mnie kochaj trochę, tylko mi powiedz, że coś znaczę w twoim sercu.

A tak mówiąc, myślałem, że mi się pierś rozpęknie, gdy zaś ona, w pomieszaniu najwyższem, poczęła powtarzać:

— O Ralfie! ty wiesz dobrze! ty wiesz wszystko!

Tego właśnie nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać, czy uciekać, czy zostać i, jak dziś zbawienia pragnę, takem się wówczas czuł zbawiony, bo mi już niczego w świecie nie brakło.

Odtąd, o ile moje zajęcia dowódcy pozwalały, byliśmy ciągle z sobą. A zajęcia te zmniejszały się aż do Missouri codziennie. Żadnemu może taborowi nie wiodło się tak pomyślnie, jak nam przez pierwsze miesiące podróży. Ludzie i zwierzęta przywykali do ordynku i nabierali wprawy podróżniczej; mogłem więc mniej ich doglądać, a ufność, jaką pokładali we mnie, utrzymywała doskonale usposobienie w obozie. Przytem dostatek żywności i piękna pogoda wiosenna budziły wesołość i wzmacniały zdrowie. Przekonywałem się codziennie, że śmiały pomysł mój prowadzenia karawany nie zwykłą drogą na St. Louis i Kanzas, ale na Jowę i Nebraskę, był doskonały. Tam upał dokuczał już nieznośny i w niezdrowem międzyrzeczu Mississippi i Missouri febry i inne choroby przerzedzały szeregi wędrowców; tu klimat zimniejszy zmniejszał słabości i trudy.

Wprawdzie droga na St. Louis była w początkowej swej części bezpieczniejsza od Indyan, albo tabor mój, złożony z dwustu trzydziestu ludzi, dobrze zaopatrzonych w broń i gotowych do walki, nie potrzebował się obawiać, zwłaszcza pokoleń zamieszkujących Jowę, które, częściej spotykając białych i częściej doświadczywszy ich dłoni, nie śmiały się rzucać na liczniejsze gromady. Należało tylko strzedz "stampeadów", czyli nocnych napadów na muły i konie, porwanie bowiem zwierząt pociągowych stawia karawanę na pustyni w strasznem po-

łożeniu. Ale od tego była pilność i doświadczenie strażników, których większa część, na równi ze mną była doskonale obzajomiona z przebiegami indyjskimi.

Raz więc zaprowadziwszy porządek pochodowy i przyzwyczaiwszy do niego ludzi, miałem we dnie bez porównania mniej niż z początku do roboty i mogłem więcej czasu poświęcać uczuciom, które owładnęły mem sercem. Wieczorami szedłem spać z myślą: jutro zobaczę Lilian; rankiem mówiłem sobie: dziś zobaczę Lilian, i codzień byłem szczęśliwszy i codzień więcej rozkochany. W karawanie poczęli się ludzie zwolna na tem spostrzegać; ale nikt mi nie brał za złe, oboje bowiem z Lilian posiadaliśmy wielką życzliwość tych ludzi. Raz stary Smith, przejeżdżając koło nas, zawołał: "God bless you, captain, and you, Lilian!" (Boże błogosław cię, kapitanie, i ciebie, Lilian) — a to połączenie naszych imion uszczęśliwiło nas na dzień cały. — Ciotka Grossvenore i ciotka Atkins często szeptały coś teraz do ucha Lilian, od czego dziewczyna płoniła się jak zorza, nigdy jednak nie chciała mi powiedzieć, coby to było. Henry Simpson tylko poglądał na nas jakoś ponuro; może tam i knował co w duszy, alem nie zważał na to.

Rankiem codziennie o czwartej byłem już, jak zwykle, na czele taboru; przede mną przewodnicy, na jakie półtora tysiąca kroków, śpiewali pieśni, — których wyuczyły ich matki Indyanki; za mną w takiejże odległości ciągnął tabór, jakby biała wstęga na stepie — i co to za cudowna chwila następowała w dniu, gdy bywało, około szóstej rano, usłyszę nagle za sobą łopot koński, i patrzę: zbliża się źrenica mojej duszy, moja dziewczyna ukochana, a powiew ranny niesie za nią włosy, które to niby

rozwiązały się od ruchu, ale które umyślnie były źle wiązane, bo mała psotnica wiedziała, że ślicznie jej tak, że tak ją lubię, i że gdy wiatr rzuci na mnie warkoczem, to go do ust przyciskam. Jam udawał, że się na tem nie poznaję, i w tem słodkiem oczekiwaniu zaczynał się nam ranek. Wyuczyłem ją po polsku wyrazu: "dzień dobry", i gdym ją słyszał wymawiającą w miłym duszy dźwięku to słowo, — wydawała mi się jeszcze droższą, a wspomnienia kraju, rodziny i lat ubiegłych, i tego co było, i tego co przeszło, przelatywały właśnie, jakoby mewy ocean, pustynię, i nieraz chciało mi się ryknąć, ale żem się wstydził, więc tylko powiekami trzymałem łzy, co miały się wylać. Ona zaś, widząc, że mimo łez całe się serce we mnie rozpływa, powtarzała, jakoby szpaczek wyuczony: "Dzień dobry! dzień dobry! dzień dobry!" I jakże tu nie miałem kochać nad wszystko tego mojego szpaczka? Potem uczyłem ją innych wyrazów, a gdy swoje angielskie usteczka do naszych trudnych układała dźwięków, i gdym się śmiał z mylnego wymawiania, wtedy, jak dziecko, wysuwała buzię naprzód, udając, że się gniewa i dąsa. Nie gniewaliśmy się jednak nigdy, i raz jeden tylko przeleciała między nami chmurka. Pewnego poranku udałem, że chcę zapiąć sprzążkę u jej strzemienia, a naprawdę lampart-ułan obudził się we mnie, i zacząłem całować jej nóżkę, a raczej biedny, podarty już w pustyni trzewiczek, którego nie oddałbym jednak za żaden tron na ziemi. Wtedy ona, tuląc nóżkę do konia i powtarzając: "Nie, Ralf! nie! nie!" skoczyła w bok, i chociażem potem przepraszał i uspokajał, nie chciała zbliżyć się do mnie. Nie wróciła jednak do taboru, bojąc się, że zanadto mnie zmartwi; ja też udałem żal sto razy większy, niżem czuł w istocie, i pogrążywszy się w milczeniu,

jechałem, jakby już wszystko skończyło się dla mnie na świecie. Wiedziałem, że litość się w niej poruszy, jakoż i tak się stało, albowiem wkrótce, zaniepokojona mojem milczeniem, poczęła z boków zajeżdżać i tak mi w oczy zaglądać, jak dziecko, co się chce przekonać, czy matka jeszcze się gniewa — a ja, choć chciałem zachować twarz chmurną, musiałem ją odwracać, aby się nie roześmiać głośno. Ale to jeden tylko raz tak było. Zwykle weseliśmy byli jak wiewiórki stepowe, a czasem, Boże odpuść! ja, dowódca całego tego taboru, stawałem się przy niej dzieckiem. Nieraz, gdyśmy jechali koło siebie spokojnie, nagle zwracałem się ku niej, mówiąc, że mam jej coś ważnego i nowego powiedzieć, a gdy nadstawiała ciekawe uszko, szeptałem w nie: "Kocham!" Więc potem ona również odszeptywała mi do ucha z uśmiechem i rumieńcem: "Also!" co znaczyło: także — i takeśmy sobie tajemnice powierzali na pustyni, gdzie nas tylko chyba wiatr mógł słyszeć!

I w ten sposób mknął dzień za dniem tak szybko, że mi się zdawało, iż ranek stykał się z wieczorem, jak dwa ogniwa w łańcuchu. Niekiedy wypadek jaki podróży mącił takową lubą jednostajność. Pewnej niedzieli metys Wichita schwytał na lasso antylopę z wielkiego gatunku, zwanego w stepach: dick, a przy niej młode. Darowałem ją Lilian, ona zaś uczyniła mu obróżkę z dzwonkiem, odjętym mułowi. Nadaliśmy kózce imię Katty. Po tygodniu oswoiła się i jadła z rąk naszych. Bywało tak, że w czasie pochodu ja jechałem z jednej strony Lilian, a z drugiej biegła Katty, ustawicznie podnosząc do góry swoje wielkie czarne oczy i bekiem prosząc o pogłaskanie.

Za Winebago wpłynęliśmy na step równy jak

stół, przestronny, bujny, dziewiczy. Przewodnicy ginęli nam chwilami z oczu w trawach i ościeńcach, nasze zaś konie brodziły, jakoby w fali. Pokazywałem Lilian ten świat dla niej nieznany zupełnie, a gdy zachwycała się jego pięknościami, czułem się dumny, że się jej to królestwo moje tak podoba. — Była to wiosna — kwiecień zaledwie chylił się ku końcowi, a więc pora najbujniejszego rozrostu traw i ziół wszelakich. Co miało kwitnąć na pustyni, już zakwitnęło.

Wieczorem takie upajające wonie biły od stepu jakby z tysiąców kadzielnic; w dzień, gdy wiatr powiał i rozkołysał równinę kwiecistą, to oczy aż bolały od migotania czerwieni, błękitów, żółtości i innych barw wszelakich. Ze zbitego podesłania strzelały w górę smukłe łodygi żółtych kwiatów, podobnych do naszej dziewanny; koło nich wiły się srebrne nici roślinki, zwanej „tears"—łzy, której gronka złożone z przeźroczystych kulek, istotnie są do łez podobne. Oczy moje, przywykłe do czytania w stepie, raz poraz odkrywały znane mi zioła: to wielkie liście kalumnu, gojące rany, to białe i czerwone czułki, co tulą kielichy za zbliżeniem się zwierza lub człowieka, to wreszcie indyjskie siekiery, których zapach snem morzy i prawie przytomność odbiera. Uczyłem wtedy Lilian czytać w tej Bożej książce, mówiąc:

— Żyć ci przyjdzie, ukochana, wśród lasów i stepów, poznaj je więc dość wcześnie.

Miejscami na równinie stepowej wznosiły się, jakby oazy, kępy drzew bawełnianych lub jodeł, tak upowite w dziki winograd i liany, że ich nie znać było pod skrętami i liśćmi. Po lianach znowu wiły się bluszcze, powoje i pnąca kolczysta "wachtia", podobna do róży dzikiej. Kwiaty kapały po

prostu po bokach, wewnątrz zaś, pod tą zasłoną i za tą ścianą, mrok był jakiś tajemniczy; pod pniami drzemały w mroku wielkie kałuże wiosennej wody, której słońce nie zdołało wypić, a z wierzchołków drzew i z między kwiecistego bisioru dochodziły dziwne głosy i wołania ptaków. Gdym pierwszy raz pokazał Lilian takie drzewa i te zwieszone kaskady kwiatów, stanęła jak wryta, powtarzając ze złożonemi rękoma:

— O Ralf! czy to prawda?

Mówiła, że się trochę boi wejść w głębinę; pewnego jednak południa, gdy upał był wielki, a nad stepem przelatywał jakoby oddech gorący teksańskiego powiewu, weszliśmy oboje, z Katty trzecią.

Zatrzymaliśmy się nad jeziorkiem, które odbiło nasze dwa konie i nasze dwie postacie, chwilę staliśmy, milcząc. Było tam chłodno, mroczno i uroczyście, jakby w gotyckim kościele, i czegoś straszno. Światło dnia dochodziło przyćmione i od liści zabarwione zielono. Ptak jakiś, schowany pod kopułą lian, krzyczał: "No! no! no!" jakby nas ostrzegał, by nie iść dalej: Katty zaczęła drżeć i cisnąć się do koni, my zaś z Lilian spojrzeliśmy nagle po sobie, i pierwszy raz usta nasze spotkały się, a spotkawszy, rozłączyć się nie mogły. Ona piła moją duszę, a ja jej duszę piłem, i oddechu poczynało nam już brakować, a jeszcze usta były na ustach; wreszcie źrenice jej mgłą poczęły zachodzić, a ręce, które miała na moich ramionach, drżały jak w febrze, i takie jakieś ogarnęło ją zapomnienie o istności własnej, że w końcu osłabła i głowę położyła mi na piersiach. Pijaniśmy byli oboje sobą, szczęściem i uniesieniem. Nie śmiałem się poruszyć, ale że duszę miałem przepełnioną, że kochałem sto razy więcej, niż to pomyśleć można lub wyrazić, więc tylko oczy wznosiłem

ku górze, szukając, gdzieby przez gęstwinę liści można spojrzeć na niebo.

Ocknąwszy się z zachwytu, wydostaliśmy się znowu z pod zielonej gęstwiny na step otwarty, na którym ogarnęło nas jasne światło i ciepły powiew, a przed nami roztoczył się zwykły szeroki i wesoły widok. Kurki stepowe smyrgały naokoło w trawie.

Na lekkich wyniosłościach, podziurawionych na kształt sita przez wiewiórki ziemne, stały jakoby wojska tych zwierzątek, znikające za zbliżeniem się naszem pod ziemią; wprost widać było tabór i jeźdźców, uwijanących się koło wozów.

Zdawało mi się, żeśmy wyszli z ciemnego pokoju na świat biały, i to samo musiało zdawać się Lilian; tylko że mnie weseliła jasnoś dzienna, ją zaś ten nadmiar złotego światła i pamięć uniesień naszych pocałunków, których ślady były jeszcze widne na jej twarzyczce, przejmowały jakby trwogą i smutkiem.

— Ralfie! czy ty mi tego za złe nie bierzesz? — spytała nagle.

— Co tobie do głowy przychodzi, o moja! Niech Bóg o mnie zapomni, jeśli prócz czci i miłości największej jest co innego dla ciebie w mem sercu.

— Bo to było dlatego, że kocham bardzo! — mówiła — i w tem usteczka zaczęły się jej trząść, i rozpłakała się cicho, a chociażem duszę z siebie wydobywał, żeby ją uspokoić, smutna została dzień cały.

IV.

Nakoniec przybyliśmy do Missouri. Indyanie wybierali zwykle chwilę przeprawy przez tę rzekę do napadów na karawany, albowiem najtrudniej się bronić wówczas, gdy część wozów na jednym brzegu, część w rzece; gdy zwierzęta pociągowe narowią się i opierają, a w ludziach powstaje zamieszanie. Jakoż widziałem, że, nim doszliśmy do rzeki, zwiady indyjskie od dwóch dni szły za nami; przedsięwziąłem więc wszelkie środki ostrożności i tabór prowadziłem trybem zupełnie wojennym. Nie dozwalałem wozom rozwłóczyć się tak po stepie, jak na wschodnich krainach Jowy, ludzie zaś trzymać się musieli w pobliżu i w zupełnej gotowości do boju. Przybywszy nad brzeg, po wynalezieniu brodu, kazałem oddziałom, złożonym każdy z sześćdziesięciu ludzi, okopać się na dwu brzegach, by w ten sposób, pod osłoną jakby małych fortów i luf karabinowych, zabezpieczyć sobie przejście. Pozostałych stu dziesięciu emigrantów miało przeprawiać wozy. Nie puszczałem więcej nad kilka wozów naraz, aby uniknąć zamieszania. Przy takiem urządzeniu — wszystko odbywało się w największym porządku, a napad stał się niemożliwym, albowiem napadający musieliby zdobyć pierwej jedno lub drugie okopisko nim mogliby się rzucić na przebywających rzekę. —

Jak dalece ostrożności te nie były zbyteczne, przyszłość nas przekonała, albowiem we dwa lata później czterystu Niemców zostało w pień wyciętych w chwili przeprawy, przez pokolenie Kiawatha, w miejscu, gdzie dziś stoi miasto Omaha. Przytem miałem jeszcze i tę korzyść, że ludzie owi, którzy przedtem słyszeli nieraz opowiadania, zalatujące aż na wschód, o strasznych niebezpieczeństwach przeprawy przez żółte wody Missouri, widząc pewność i łatwość, z jaką wywiązuję się z zadania, nabrali ślepej ufności i poczęli uważać mnie jakby za jakiegoś panującego ducha tych pustyń.

Pochwały te i uniesienia dochodziły codziennie do Lilian, w której rozkochanych oczach wyrosłem na bohatera z legendy. Ciotka Atkins mówiła jej: "Póki your Pole (twój Polak) będzie przy tobie, możesz spać i na deszczu, bo on nie da cię zmoczyć". A dziewczynie mojej serce rosło od tych pochwał. Przez cały czas jednak przeprawy nie mogłem prawie chwili jej poświęcić i tylko przelotnie oczyma mówiłem jej wszystko, czego nie mogły wypowiedzieć usta; cały dzień byłem na koniu, to na jednym brzegu, to na drugim, to w wodzie. Pilno mi było ruszyć jak najspieszniej od tych żółtych wód, niosących wieczyście przegniłe pnie, kupy liści, trawy i cuchnący ił z Dakoty, który zaraża febrą.

Obok tego ludzie byli niezmiernie znużeni ciągłem czuwaniem, konie zaś chorowały od niezdrowej wody, której i my nie mogliśmy używać inaczej, tylko po przetrzymaniu jej kilka godzin na węglach. Wreszcie po ośmiu dniach czasu, znaleźliśmy się wszyscy na prawym brzegu, nie złamawszy ani jednego wozu, a straciwszy tylko siedm sztuk mułów i koni. Tegoż dnia jednak padły pierwsze strzały, ludzie moi bowiem zabili, a następnie, wedle ohyd-

nego zwyczaju pustyń, oskalpowali trzech Indyan, którzy usiłowali się wsunąć między postój mułów. Wskutek tego wypadku, nazajutrz wieczorem przybyło w poselstwie sześciu starszych wojowników z pokolenia Krwawych-Śladów, należącego do szczepu Pawnee. Zasiadłszy z groźną powagą przy naszych ogniskach, poczęli domagać się w nagrodę mułów i koni, zapowiadając, że w razie odmowy — pięciuset wojowników uderzy na nas niezwłocznie. Ale ja z tych pięciuset wojowników nie wiele sobie robiłem, mając tabór już przeprawiony i obronny okopami. Wiedziałem dobrze, że to poselstwo tylko dlatego było przysłane, iż dzicy chwycili pierwszy powód, by coś utargować bez napadu, w którego skuteczność stracili wiarę. I byłbym zaraz ich wygnał, gdyby nie to, żem Lilian chciał wyprawić z nich widowisko. Jakoż gdy siedzieli nieruchomie przy ognisku rady z oczyma utkwionemi w płomień, ona spoglądała, ukryta za wozem, z trwogą i ciekawością na ich ubiór ponaszywany w spojeniach włosami ludzkimi, na toporki zdobne piórami przy rękojeściach i na twarze, malowane czarno i czerwono, co oznaczało wojenne przygotowania. Mimo tych przygotowań jednak, odmówiłem stanowczo ich żądaniom, a przechodząc z odpornej w zaczepną niejako rolę, oświadczyłem, że jeśli choć jeden muł zginie z taboru, sam ich poszukam i kości ich pięciuset wojowników porozrzucam po całym stepie. Odeszli, tłumiąc z wysileniem wściekłość, ale odchodząc, przerzucali swoje toporki nad głową na znak wojny. Jednakże słowa, które wyrzekłem, utkwiły w ich pamięci; gdy zaś w chwili ich odejścia dwustu moich ludzi umyślnie przygotowanych podniosło się nagle w groźnej postawie i, uczyniwszy głośny chrzęst bronią, wydało okrzyk wojenny, goto-

wość ta głębokie na umyśle dzikich wojowników uczyniła wrażenie.

W kilka godzin później Henry Simpson, który z własnej ochoty poszedł był na przeszpiegi za poselstwem, wrócił cały zziajany, z wieścią, że znaczny oddział indyjski zbliża się ku nam. W całym taborze ja jeden, znając na wylot obyczaje indyjskie, wiedziałem, że to są puste groźby, bo Indyanie nie są w dość znacznej liczbie, by ze swoimi łukami, wyrobionymi z drzewa "hicoro", wystąpić przeciw kentuckim dalekonośnym strzelbom. Powiedziałem to Lilian, chcąc ją uspokoić, bo drżała jak liść o mnie, ale wszyscy inni byli pewni, że walka nastąpi, młodsi zaś, których duch wojowniczy się rozbudził, pragnęli jej gorąco. Jakoż wkrótce usłyszeliśmy wycia czerwonoskórych; jednakże zatrzymali się na odległość kilkunastu strzałów jakby szukając chwili sposobnej. Całą noc w naszym obozie płonęły ogromne ogniska, sycone drzewem bawełnianem i pękami misurskiej łoziny; mężczyźni trzymali straż koło wozów, kobiety ze strachu śpiewały psalmy; muły, nie wygnane jak zwykle, na nocny postój, ale zamknięte wozami, kwiczały i gryzły się; psy, czując blizkość Indyan, wyły — słowem, gwarno i groźnie było w całym obozie. W krótkich chwilach ciszy słyszeliśmy żałosne, złowróżbne skomlenia placówek indyjskich, nawołujących się głosem kujotów. Koło północy, Indyanie usiłowali zapalić step ale wilgotne wiosenne trawy nie chciały się palić, chociaż od kilku dni nie spadła ani kropla deszczu.

Objeżdżając nad rankiem już placówki, znalazłem znowu sposobność zbliżenia się na chwilę do Lilian. Znalazłem ją śpiącą ze znużenia, z główką opartą na kolanach poczciwej ciotki Atkins, która, uzbroiwszy się w "bowie", poprzysięgła, że pierwej

wygubi całe pokolenie Krwawych-Śladów, zanimby jeden z nich śmiał się zbliżyć do jej pieszczoszki. Co do mnie, wpatrywałem się w tę śliczną uśpioną twarz z miłością nietylko mężczyzny, ale prawie matki, i czułem na równi z ciotką Atkins, że poszarpałbym na szczątki każdego, ktoby temu mojemu ukochaniu chciał grozić. W niej była moja radość, w niej moje wesele, poza nią tylko włóczęga, tułactwo i przygody bez końca. Przed oczyma miałem najlepszy tego dowód: w dali step, szczęk broni, noc na koniu, walka i drapieżnych zbójców czerwonoskórnych; blizko przy sobie sen cichy tej istoty lubej, a tak ufnej i wierzącej we mnie, że dość było jednego mego słowa, aby uwierzyła, że napadu nie będzie, i usnęła tak pewna bezpieczeństwa, jakby pod dachem ojcowskim.

Gdym tedy patrzał na one dwa obrazy, pierwszy raz uczułem, jak mnie zmęczyło to życie awanturnicze, bez jutra, a zarazem poznałem, że uspokojenie wszelkie i cichość tylko przy niej odnajdę. — "Byle do Kalifornii! byle do Kalifornii! — myślałem sobie. — Ot! trudy podróży, której połowa, a i to łatwiejsza, dopiero dopełniona, znać już i na tej bladej twarzyczce, a tam nas czeka kraj śliczny, obfity, i niebo ciepłe, i wieczysta wiosna". Tak rozmyślając, przykryłem nogi śpiącej swoim płaszczem aby jej nie dokuczał chłód nocny, i wróciłem na kraniec majdanu, bo od rzeki poczynała się podnosić mgła tak gęsta, że Indyanie istotnie mogli z niej skorzystać i popróbować szczęścia. Ogniska coraz przesłaniały się i bladły, a w godzinę później, na dziesięć kroków człowiek człowieka nie mógł zobaczyć. Poleciłem teraz co minuta okrzykiwać się placówkom, i wkrótce nic nie było słychać w obozie, tylko przeciągłe: "All's well!" które, jakby słowo

litanii, przechodziło z ust do ust. Indyjski obóz zamilkł za to zupełnie, jakby tam ludzie poniemieli, co mnie poczynało niepokoić. Z pierwszym brzaskiem opanowało nas niezmierne znużenie, albowiem Bóg wie, ile już nocy większa część ludzi spędziła bezsennie. Przytem mgła, dziwnie przenikliwa, — przejmowała chłodem i drżeniem.

Rozmyślałem, czyby nie lepiej było zamiast stać na miejscu i czekać co się Indyanom podoba zrobić, uderzyć na nich i rozegnać na cztery wiatry. Nie była to ułańska chętka, ale raczej konieczna potrzeba, bo śmiały i fortunny atak mógł nam zjednać głośną sławę, która, raz rozszedłszy się między dzikiemi pokoleniami, zabezpieczyłaby nas na długi przeciąg drogi. Zostawiwszy więc stu trzydziestu ludzi pod wodzą doświadczonego wilka stepowego Smitha w okopisku, kazałem stu innym wsiąść na koń, i ruszyliśmy naprzód, trochę poomacku, ale z ochotą, bo chłód stawał się coraz dokuczliwszy, a tam można się było przynajmniej rozgrzać. Na odległość dwu strzałów rzuciliśmy się z okrzykiem w galop i wśród strzałów karabinowych wpadliśmy jak burza na okopisko dzikich. Jakaś kula niezręcznego strzelca, wysłana z naszej strony, świsnęła mi koło samego ucha, ale zdarła mi tylko czapkę; tymczasem byliśmy na karku Indyan, którzy spodziewali się może wszystkiego, ale nie napadu, albowiem pierwszy to był zapewne wypadek, aby podróżni sami szukali oblegających. Trwoga też oślepiła ich tak wielka, że rozpierzchli się na wszystkie strony, wyjąc z przerażenia jak dzikie zwierzęta i ginąc bez oporu. Jeden dopiero mniejszy oddział, przyparty do rzeki, widząc zagrodzoną ucieczkę, bronił się mocno i tak zacięcie, że wo-

jownicy woleli rzucać się w wodę, niż prosić o życie.

Ich Oszczepy z zaoszczonych rogów jelenich i tomahawki z twardego krzemienia nie były zbyt groźne, ale posługiwali się nimi z wielką zręcznością. Przełamaliśmy jednak i tych w mgnieniu oka, ja zaś osobiście wziąłem w niewolę jakiegoś rosłego drapichrósta, któremu, wydzierając w chwili walki toporek, złamałem razem z toporkiem i rękę. Zabraliśmy kilkadziesiąt koni, ale tak dzikich i złośliwych, że nie było z nich pożytku. Jeńców bez wyjątku rannych znalazło się kilkunastu. Kazałem ich opatrzyć najtroskliwiej, a następnie, na prośbę Lilian, obdarowawszy ich derkami, bronią i końmi, potrzebnymi dla ciężej rannych, puściłem na wolność. Biedacy ci, którzy w przekonaniu, że przywiążemy ich do pala mąk, poczęli już mruczeć swoje monotonne pieśni śmierci, byli z początku poprostu przestraszeni tem, co ich spotykało. Sądzili, że puszczamy ich tylko dlatego, aby następnie wyprawić na nich obyczajem indyjskim polowanie; widząc jednak, że naprawdę nic im nie grozi, odeszli, sławiąc męstwo nasze i dobroć Bladego-Kwiatu, — którą to nazwą ochrzcili Lilian.

Dzień ten zakończył się jednak smutnym wypadkiem, który rzucił cień na naszą radość z tak znacznego zwycięstwa i jego przewidywanych skutków. Między mymi ludźmi nie było zabitych, kilkunastu jednak odniosło mniej więcej znaczne rany; najciężej zaś raniony był Henry Simpson, którego zapalczywość nazbyt unosiła w walce. Wieczorem stan jego pogorszył się do tego stopnia, że zaczął konać; pragnął mi uczynić jakieś zwierzenia, ale biedak nie mógł już mówić, albowiem szczękę miał zgruchotaną toporkiem. Wybełkotał tylko: "Pardon, my captain!" i zaraz porwały go konwulsye. Domyśliłem się, czego chce, przypomniawszy sobie kulę, która rano świsnęła mi koło ucha, i odpuściłem mu, jak na chrześcianina przystało. Wiedziałem również, że unosił z sobą do grobu głębokie, choć niewyznane uczucia dla Lilian, i że prawdopodobnie umyślnie poszukał śmierci. Umarł o północy tegoż dnia, pochowaliśmy go zaś pod olbrzymiem drzewem bawełnianem, na którego korze wyciąłem nożem krzyż.

V.

Na drugi dzień ruszyliśmy dalej, a przed nami był step jeszcze obszerniejszy, równiejszy, dzikszy, krainy stopą białych zaledwie wówczas dotknięte, słowem: byliśmy w Nebrasce. Przez pierwsze dni posuwaliśmy się dość szybko po bezdrzewnych przestrzeniach, ale nie bez trudności, albowiem brakło nam zupełnie drzewa na opał. Brzegi rzeki Platy, przecinającej całą długość tych niezmiernych równin, są wprawdzie pokryte gęstymi zaroślami łozy i wierzby, ale że rzeka ta, płynąca płaskiem korytem, naonczas, jak zwykle wiosną, wylała, musieliśmy się trzymać z daleka. Tymczasem noce spędzaliśmy przy mgłych ogniskach z bawolego gnoju, — który niewysuszony jeszcze dostatecznie słońcem, tlił się raczej błękitnym płomykiem, niż palił. — Zdążaliśmy więc z wielkiem wysileniem ku Big Blue River, gdzie mogliśmy znaleźć obfitość paliwa. Okolica nosiła na sobie wszystkie cechy ziemi zupełnie pierwotnej. Raz wraz przed taborem, ciągnącym teraz w bardziej zwartym łańcuchu, pierzchały stada antylop o sierści rudej i białej pod brzuchem, czasami z fali traw wynurzał się potworny, kudłaty łeb bawołu o krwawych oczach i dymiących chrapach, to znów liczne gromady, niby czarne ruchome punkciki, widać było na dalekości stepowej.

W niektórych miejscach przejeżdżaliśmy koło całych miast, złożonych z kopców, usypanych przez pieski ziemne. Indyanie nie pokazywali się zrazu i dopiero w kilka dni później ujrzeliśmy trzech dzikich jeźdźców strojnych w pióra, którzy jednak natychmiast znikli nam, jakby widziadło, z oczu. Przekonałem się później, że krwawa nauka, jaką dałem im nad brzegiem Missouri, uczyniła szybko imię: ''Big-ara'' (tak bowiem przerobili Big Ralf) strasznem między licznemi pokoleniami rabusiów stepowych, łaskawość zaś, okazana jeńcom, ujęła te ludy dzikie i złośliwe, ale nie pozbawione uczuć rycerskich.

Przybywszy do Big Blue River, postanowiłem zatrzymać się przy jej lesistych brzegach przez dni dziesięć. Druga połowa drogi, która leżała przed nami, trudniejsza była od pierwszej, albowiem za stepami leżały góry Skaliste, a dalej ''złe ziemie'' Utahu i Newady. Tymczasem muły nasze i konie, pomimo obfitości paszy, były zdrożone i wychudłe, koniecznem było zatem wzmocnić dłuższym odpoczynkiem ich siły. Tym celem usadowiliśmy się w trójkącie utworzonym przez rzekę Big Blue i Beaver Creek, czyli strumień-Bobrowy. Silna pozycya, zabezpieczona z dwóch stron korytami rzek, z trzeciej wozami, stała się prawie niezdobytą, tembardziej, że drzewo i woda znajdowały się na miejscu. Czynności więc obozowej nie było tu prawie wcale, zbytnie czuwanie niepotrzebne, a ludzie z całą swobodą mogli używać wywczasu. Były też to najpiękniejsze dni naszej podróży. Pogoda utrzymywała się cudna, a noce zrobiły się tak ciepłe, że można było spać pod gołem niebem.

Ludzie rankiem wychodzili na polowanie, w południe wracali obarczeni antylopami i stepowem

ptactwem, którego miliony znajdowały się w okolicy; resztę dnia spędzali, jedząc, śpiąc i śpiewając lub strzelając dla zabawy do dzikich gęsi, przelatujących całymi kluczami nad obozem. Nad te dziesięć dni nie było też lepszych, ani szczęśliwszych w mojem życiu. Od rana do wieczora nie rozłączaliśmy się z Lilian ani na chwilę, a ten początek już nie przelotnych widzeń, ale jakby pożycia, przekonywał mnie coraz bardziej, jak na zawsze pokochałem tę łagodną i dobrą istotę. Poznałem ją teraz bliżej i głębiej. W nocy często, zamiast spać, zastanawiałem się co w niej jest, że stała mi się tak droga i taka potrzebna w życiu, jak powietrze do oddychania. Bóg widzi, że kochałem bardzo jej śliczną twarz, i jej warkocze długie, i oczy takie błękitne, jak to niebo nad Nebraską, i jej postawę wysmukłą a wiotką, co zdawała się mówić: "Wesprzyj mnie i broń zawsze, bo bez ciebie nie dam sobie rady na świecie!" Bóg widzi! kochałem wszystko, co w niej było, każdą jej mizerną sukienkę — i tak mnie do niej ciągnęło, że ot! rady sobie dać nie mogłem; ale był jeszcze inny w niej dla mnie urok, a to jej słodycz i tkliwość. Wiele kobiet spotkałem w życiu, ale takiego anioła nie spotkałem i nie spotkam już nigdy, i wieczny smutek czuję, gdy sobie o tem pomyślę. Dusza w niej była taka tkliwa, jak ten kwiatek, co liście tuli, gdy się do niego zbliżyć.

Na każde moje słowo wrażliwa, umiała wszystko odczuć i każdą myśl tak w sobie odbić, jako woda głęboka a przejrzysta odbija, co nad jej brzegiem przemknie. Przytem to czyste serce z taką się uczuciu poddawało wstydliwością, żem czuł, jak musi kochać, gdy słabnie i na ofiarę się daje. A wtedy, co tylko dusza męska ma w sobie poczciwego, to się zmieniało w jedną wdzięczność dla niej. Ona

była poprostu moja jedyna, moja najmilsza w świecie, tak skromna, że ją musiałem przekonywać, że kochać to nie grzech, i ciągle łamałem sobie głowę, jak ją przekonać. Na takich wzruszeniach upływało nam owych dni dziesięć w widłach rzecznych, — gdzie wreszcie i spełniło się moje szczęście najwyższe. Raz świtaniem poszliśmy na przechadzkę w górę Beaver Creek; chciałem pokazać jej bobry, których całe państwo kwitnęło sobie nie dalej, niż o pół mili od naszego taboru. Idąc ostrożnie brzegiem wśród zarośli, wkrótce znaleźliśmy się u celu. Była tam niby zatoka, niby jeziorko, utworzone przez strumień, naokół którego stały wielkie dwa drzewa hicoro; nad samymi zaś brzegami rosły wierzby, połową gałęzi zanurzone w wodzie. Tama bobrowa nieco wyżej na strumieniu, tamując bieg jego, utrzymywała w jednej zawsze wysokości wodę w jeziorku, nad którego jasną powierzchnią wystawały okrągłe, nakształt kopułek, domki tych przemyślnych zwierzątek.

Noga ludzka prawdopodobnie nie postała nigdy w tem ustroniu, zakrytem ze wszystkich stron drzewami. Rozsunąwszy ostrożnie cienkie pręty wierzbowe, patrzaliśmy oboje na wodę gładką jak lustro i błękitną. Bobry jeszcze nie były przy pracy; wodne miasteczko spało widocznie spokojnie, i taka cisza panowała na jeziorku, żem słyszał oddech Lilian, której złota główka, wsunięta razem z moją w otwór między gałęziami, opierała się o skroń. — Otoczyłem kibić dziewczynki ręką, aby ją podtrzymywać nad pochyłem brzegiem — i czekaliśmy cierpliwie, napawając się tem, co ogarniały oczy nasze. Przywykły do życia w pustyniach, kochałem przyrodzenie, jakby matkę własną, i choć poprostu, ale

czułem, co tam już było jakoby Bożem uradowaniem się ze świata.

Ranek, był wczesny, ledwie zorze ranne wzeszły i czerwieniły się między gałęziami hikorów; rosa spływała po liściach wierzbowych i coraz było świetliściej. Potem na drugi brzeg przyszły kurki stepowe, szare, z czarnem gardłem, zdobne kitkami na głowach i piły wodę, zadzierając dzioby do góry. "Ach! Ralf! jak tu dobrze!" — szeptała mi Lilian, a mnie już nic innego nie było w głowie, tylko chata tam jaka w zapadłym kanionie, ona przy mnie, i taki różaniec spokojnych dni, coby sobie spłynął cicho w wieczystość i w ostatnie uspokojenie. Więc nam się teraz zdawało, żeśmy do tego wesela przyrody przynieśli nasze wesele, do tego spokoju nasz spokój i do tego świtu ten świt szczęśliwości, który był w naszych duszach. Tymczasem gładka toń porysowała się w koła, i z wody wynurzyła się zwolna głowa bobra, wąsata, mokra i różowa od blasku rannego, potem druga i dwa zwierzątka popłynęły ku tamie, rozcinając pyszczkami modrą szybę, prychając i mrucząc. Wszedłszy na tamę i siadłszy na tylnych łapkach, poczęły skrzeczeć, a na to hasło większe i mniejsze głowy wynurzyły się jakby przez jakie czarodziejstwo: na jeziorku rozległ się plusk. Stadko zdawało się z początku bawić tylko, kąpać i krzyczeć po swojemu z radości, ale ta pierwsza para, poglądająca z tamy, wydała nagle nozdrzami świst przeciągły i w mgnieniu oka pół czeredy znalazło się na tamie drugie pół popłynęło ku brzegom i znikło pod frendzlami wierzb pod któremi woda zaczęła się burzyć, a odgłos, jakoby piłowanego drzewa, donosił, że zwierzątka pracują tam, tnąc gałęzie i korę.

Długo bardzo patrzaliśmy z Lilian na te obroty

i na uciechy zwierzęcego życia, póki go człowiek nie zamąci; nagle ona, chcąc zmienić postawę, poruszyła wypadkiem gałęzie — i w gmnieniu oka znikło wszystko; tylko rozhuśtana woda wskazywała, że coś tam jest, ale po chwili woda wygładziła się, i znów otoczyła nas cichość, przerywana tylko pukaniem dzięciołów w twardą korę hikorów. Tymczasem słońce podniosło się nad drzewa i poczęło silnie dogrzewać. Ponieważ Lilian nie czuła się jeszcze zmęczoną, postanowiliśmy obejść naokoło zatokę. Po drodze spotkaliśmy inny mały strumień, przecinający las i wpadający właśnie do zatoki ze strony przeciwnej. Lilian nie mogła go przejść, musiałem ją więc przenieść i, mimo oporu, wziąwszy ją jak dziecko na ręce, wszedłem w wodę. Ale strumień ten to był strumień pokus. Bojaźń, abym nie upadł sprawiła, że Lilian objąwszy mnie obiema rękoma za szyję, przytuliła się do mnie ze wszystkich sił i tylko twarz zawstydzoną kryła za mojem ramieniem, a ja zaraz zacząłem usta przyciskać do jej skroni, szepcąc: "Lilian! moja Lilian!" I tak ją niosłem przez strumień. Gdym stanął na drugim brzegu, chciałem ją nieść dłużej, ale wydarła mi się prawie przemocą. Oboje nas ogarnęła jakaś niespokojność, ona zaś zaczęła się oglądać, jakby się bojąc, i to bladość, to różowość biły naprzemian w jej twarz. Szliśmy dalej. Wziąłem jej rękę i począłem przyciskać ją do serca. Chwilami brał mię strach przed samym sobą. Dzień stawał się znojny; żar spływał z nieba na ziemię; wiatr nie wiał; liście na hikorach zwisły nieruchomie, dzięcioły tylko biły, jak dawniej, w korę, ale wszystko zdawało się usypiać i od upału słabnąć. Myślałem, że czary jakieś są w powietrzu i w tym lesie, a potem myślałem tylko o tem, że Lilian jest przy mnie i żeśmy sami. —

Tymczasem poczęło ją ogarniać zmęczenie, bo oddech jej stawał się coraz krótszy i głośniejszy, a na twarz zwykle bladą wybiły ogniste rumieńce. Pytałem się jej: czy nie zmęczona i czy nie zechce odpocząć? "O nie! nie!" odrzekła szybko, jakby się broniąc od tej myśli nawet, ale po kilkunastu krokach zachwiała się nagle, szepcąc:

— Nie mogę! naprawdę, nie mogę dalej!

Wtedy wziąłem ją znów na ręce i zszedłem z tym drogim ciężarem do samego brzegu, gdzie gałęzie wierzbowe, zwieszone aż do ziemi, tworzyły jak gdyby cieniste korytarze. W takiej alkowie zielonej złożywszy ją na mchach, klęknąłem przy niej, ale gdym na nią spojrzał, serce ścisnęło się we mnie. Twarz jej pobladła, jak płótno, a rozszerzone oczy patrzały na mnie z przestrachem.

— Lilian, co ci jest, droga? — wołałem. — To ja przy tobie!

Tak mówiąc, do nóg się jej pochyliłem i okrywałem je pocałunkami.

—Lilian! — mówiłem dalej — moja jedyna, moja wybrana, moja żono!

Gdym mówił to ostatnie słowo, dreszcz przebiegł ją od stóp do głowy, i nagle ręce, jakby w gorączce, z jakąś niezwykłą siłą zarzuciła mi na szyję, powtarzając:

— "My dear! my dear! my husband! — a potem wszystko znikło mi z oczu, i zdawało mi się, że cała kula ziemska leci gdzieś z nami...

Dziś już nie wiem, jak to być mogło, że gdym się zbudził z tego upojenia i oprzytomniał, między czarnemi gałęziami hikorów świeciła znowu zorza, ale już wieczorna. Dzięcioły przestały bić w korę; na dnie jeziora druga zorza śmiała się do tej, co na niebie; mieszkańcy jeziorka poszli spać, wieczór był

śliczny, cichy, przesycony czerwonem światłem; czas było wracać do taboru. Gdy wyszliśmy z pod wierzb płaczących, spojrzałem na Lilian; nie było na jej twarzy ani smutku, ani niepokoju, w oczach tylko wzniesionych ku niebu paliła się cicha rezygnacya, a jej błogosławioną głowę otaczała jakby jaka gloria świetlista ofiary i powagi. Gdym jej podał rękę, głowę spokojnie schyliła na moje ramię i nie odwracając oczu od nieba, rzekła do mnie:

— Ralfie, powtórz mi, że jestem żoną twoją, i powtarzaj mi to często.

Więc, że nie było ani w pustyniach, ani tam, dokąd dążyliśmy, żadnych innych ślubów, prócz ślubów serc — klęknąłem w tym lesie, a gdy ona uklękła przy mnie, rzekłem:

— Wobec nieba, ziemi i Boga! — oświadczam ci, Lilian Morris, że cię biorę, jako małżonkę — amen!

Od tej chwili byliśmy zaślubieni, odtąd to nie była moja kochanka, ale prawowita żona. I dobrze nam było obojgu z tą myślą — i dobrze mnie, bo w sercu zbudziło mi się nowe uczucie jakiejś czci świętej dla Lilian i dla siebie samego, jakiejś zacności i powagi wielkiej, przez którą miłość wyszlachetniała i stała się błogosławioną. Ręka w rękę, z podniesionemi głowami i śmiałem okiem wróciliśmy do taboru, gdzie ludzie niepokoili się już bardzo o nas. Kilkunastu z nich rozjechało się na wszystkie strony szukać nas, i ze zdziwieniem dowiedziałem się później, że kilku przechodziło koło jeziorka, ale nie mogli nas dostrzedz, my zaś nie słyszeliśmy ich nawoływań. By jednak nie sądzono krzywo, wezwałem wszystkich, a gdy stanęli w koło, wziąwszy Lilian za rękę, wszedłem z powagą w środek i rzekłem:

— Gentlemanowie! bądźcie świadkami, że wobec was nazywam tę kobietę, która przy mnie stoi, żoną moją, i tak też świadczcie przed sądem, przed prawem i przed każdym, ktoby o to, czy na Wschodzie, czy na Zachodzie, was pytał.

— All right! and hurra for you both! — odpowiedzieli górnicy; potem stary Smith spytał wedle obyczaju Lilian, czy się zgadza wziąć mnie za męża, a gdy odrzekła: "Tak", byliśmy już i wobec ludzi prawnie poślubieni. Na dalekich stepach Zachodu i na wszystkich okrainach, gdzie niema miast, sędziów i kościołów, nigdy zaślubiny nie odbywają się inaczej, a dotychczas w całych Stanach, kto nazwie kobietę, z którą mieszka pod jednym dachem, żoną, takowe oświadczenie staje za wszystkie sądowe dokumenty. Nikt więc z moich ludzi nie dziwił się, ani też patrzał na moje zaślubiny inaszej, tylko z powagą zwyczajowi odpowiednią, a natomiast uradowali się wszyscy, bo chociażbym ich tam trochę karniej trzymał niż inni przywódcy, przecie wiedzieli, że to czynię szczerze, i z każdym dniem więcej okazywali mi życzliwości, a już to żona moja była zawsze okiem w głowie całej karawany. Wnet też zaczęła się uroczystość i zabawa. Rozniecono ogniska; Szkoci wydobyli z wozów swoje kobzy, których głos lubiliśmy oboje, bo był dla nas miłem wspomnieniem, Amerykanie swoje ulubione klekotki z żeber i wśród pieśni, okrzyków i strzelaniny upłynął nam wieczór weselny. Ciotka Atkins brała co chwila Lilian w objęcia, to śmiejąc się, to płacząc, to zapalając bez końca fajkę, która jej gasła ustawicznie. Ale najbardziej wzruszył mnie następny obrządek, będący we zwyczaju u tej ruchliwej części ludności Stanów, która większą część życia spędza na wozach: oto, gdy księżyc wzeszedł, mężczyźni pozatykali na stemple przy karabinach pęki zapalonej łoziny, i cała procesya, pod wodzą starego Smitha, poczęła nas oprowadzać od wozu do wozu, pytając przy każdym Lilian:

— Is this your home? (Czy to twój dom?) Moje śliczne kochanie odpowiadało: No! — i szliśmy dalej. Przy wozie ciotki Atkins prawdziwe rozczulenie opanowało wszystkich, bo w nim jechała Lilian dotychczas; gdy więc i tu odrzekła cicho: No! — ciotka Atkins ryknęła, jako bawół, i, porwawszy Lilian w objęcia, poczęła powtarzać: My little! my sweet! (moje maleństwo! moje słodkie!), łkając przytem i zanosząc się od płaczu. Łkała i Lilian, a wtedy wszystkie te hartowne serca rozhartowały się na chwilę, i nie było oczu, któreby nie nabrzękły łzami. Gdyśmy zbliżyli się do mego wozu, ledwom go poznał, tak był ustrojony zielenią i kwiatami. Tu mężczyźni podnieśli wysoko płonące pęki, a Smith spytał głośniej i poważniej:

— Is this your home?

— That's it! That's it! — odpowiedziała Li-

Naówczas wszyscy poodkrywali głowy, i cisza zrobiła się taka, że słyszałem huczenie ognia i szelest rozpalonych prętów, spadających na ziemię, a stary białowłosy górnik, wyciągnąwszy nad nami swe żylaste ręce, rzekł:

— Niech was Bóg błogosławi oboje i wasz dom, amen

Trzykrotne: hurra! odpowiedziało na to błogosławieństwo, poczem rozeszli się wszyscy, zostawiając mnie z moją ukochaną sam na sam.

Gdy ostatni człowiek oddalił się, ona głowę oparła na mojej piersi, szepcąc: "Na zawsze! na zawsze!" i w tej chwili w duszach więcej mieliśmy gwiazd, niż ich było na niebie.

VI.

Nazajutrz rano zostawiłem żonę śpiącą jeszcze, a sam poszedłem szukać dla niej kwiatów. Szukając ich, powtarzałem sobie co chwila: "Jesteś żonaty!" — i ta myśl taką napełniała mnie radością, żem oczy podnosił do Pana zastępów, dziękując Mu, iż mi dał dożyć tej chwili, w której człowiek prawdziwym człowiekiem się staje i żywot swój dopełnia żywotem drugiej, ukochanej nad wszystko istoty. Miałem też teraz coś swego na świecie, a choć tam jeszcze wóz tylko płócienny był mi domem i ogniskiem, zarazem się czuł bogatszy i na tułaczą dolę moją patrzałem z litością i zdziwieniem, jak mogłem żyć tak dotąd. Ani mi do głowy nie przychodziło przedtem, ile to jest szczęścia w tem słowie: żona, gdy się na krew swoją serdeczną tem imieniem woła i na najlepszą część własnej duszy. Toż ja oddawna tak ją już kochałem, żem cały świat widział tylko przez Lilian, i wszystkom do niej ściągał, i o tyle, o ile jej tyczyło, rozumiał. A teraz, gdym mówił: żona, to się znaczyło: moja, moja na zawsze — i myślałem, że właśnie zwaryuję ze szczęścia, bo w głowie mi się nie mieściło, abym ja, biedny człowiek, mógł taki skarb posiadać. Czegóż mi wtedy brakło? Niczego. Gdyby te stepy były cieplejsze, i gdyby bezpieczeństwo w nich było dla niej, gdyby nie o

bowiązek doprowadzenia ludzi tam, gdziem im obiecał — tobym i do Kalifornii gotów był nie jechać, ale osiadłbym choćby w Nebrasce, byle z Lilian. Jechałem tam, by złoto kopać, a teraz chciało mi się śmiać z tej myśli. "Co ja tam mogę za bogactwa jeszcze wykopać, skoro mam ją? — pytałem siebie. — Co nam obojgu po złocie? Ot, wybiorę jaki kanion, gdzie wiosna wieczna, nawalę pni na chałupę i będę żył z nią, a przecie pług i strzelba życie nam dadzą i głodu mrzeć nie będziem". Tak myślałem, szukając kwiatów, a gdym ich nazbierał dosyć, wróciłem do taboru. Po drodze spotkałem ciotkę Atkins.

— Malutka śpi? — spytała, wyjmując na chwilę z ust swoją nieodstępną fajeczkę.

— Śpi — odrzekłem.

Na to ciotka Atkins, przymrużywszy jedno oko, mówiła dalej:

— Ah! you rascal! (Ach, rozbójniku!).

Tymczasem "malutka" nie spała już, bo oboje ujrzeliśmy ją, jak zeszła z wozu i, zakrywszy rączką oczy od blasku słonecznego, poczęła rozglądać się na wszystkie strony. Ujrzawszy mnie, przybiegła pędem, cała różowa i świeża, jak ten poranek, a gdym otworzył ramiona, wpadła w nie zadyszana, i podsuwając mi swoje usteczka, poczęła wołać:

— Dzień dobry! dzień dobry! — potem wspięła się na palce i, patrząc mi w oczy, pytała z uśmiechem figlarnym: — Am I your wife? Czy jestem twoją żoną?

Cóż tu było odpowiedzieć? — chyba całować bez końca i pieścić. Tak też spłynął nam cały ten czas w widłach rzecznych, bo wszystkie moje obowiązki aż do chwili wyruszenia w dalszy pochód, wziął na siebie stary Smith. Odwiedziliśmy więc jeszcze raz nasze bobry i strumień, przez który teraz

przeniosłem ją bez oporu. Raz puściliśmy się małą łódką z czerwonego drzewa w górę Blue River, gdzie w jednym zakręcie pokazałem jej z bliska bawoły, bijące rogami w gliniasty brzeg, od czego całe czoła ich bywają pokryte jakby pancerzami z wyschłej gliny. Dopiero na dwa dni przed wyruszeniem ustały te wycieczki, bo raz, że Indyanie pokazali się w okolicy, a powtóre, moja droga pani zaczęła mi czegoś słabować. Pobladła i straciła siły, a gdym ją wypytywał, co to jest, odpowiadała mi tylko z uśmiechem i zapewnieniem, że nic. Czuwałem nawet nad jej snem, otulałem, jakem umiał, i prawie żem wiatrowi nie dawał wiać na nią, ażem z troski sam pomizerniał. Ciotka Atkins przymrużała wprawdzie z tajemniczą miną lewe oko, mówiąc o tej chorobie Lilian, i puszczała tak gęste kłęby dymu, że aż jej samej nie było zpoza nich widać — alem się jednak niepokoił, tembardziej, że chwilami zaczęły przychodzić Lilian smutne myśli. Wbiła sobie w główkę, że może to nie wolno tak bardzo się kochać, jak my się kochamy, i raz położywszy swój cudny paluszek na Biblii, którą czytywała codziennie, rzekła smutno:

— Czytaj, Ralf!

Spojrzałem, i mnie również dziwnem jakieś uczucie ścisnęło za serce, gdym wyczytał: — "Who changed the truth of God into a lie, and worshipped und served the creature more than the Creator, who is blessed for ever?" (Kto zmienił prawdę Boga na kłamstwo i uczcił, i służył stworzeniu więcej, niż Stwórcy, który jest błogosławiony na wieki?). Ona zaś rzekła, gdym skończył:

— A jeśli Bóg gniewa się za to, to wiem, że będzie tak dobry i mnie tylko ukarze.

Uspokoiłem ją, powiedziawszy, że kochanie to jest poprostu anioł, który z dwóch dusz ludzkich

leci aż do Boga i chwałę Mu z ziemi przynosi. Poczem już nie było między nami mowy o takich rzeczach, bo zaczęły się przygotowywania do pochodu, opatrywanie wozów i zwierząt i tysiące drobnych zajęć, które mi czas mój kradły.

Gdy wreszcie nadeszła chwila odjazdu, z żalem i łzami żegnaliśmy te widły rzeczne, które tyle naszego szczęścia widziały. Ale gdym ujrzał tabor, znowu wyciągnięty na stepie, i te wozy jedne za drugimi, i szeregi mułów przed wozami, doznałem ulgi pewnej na myśl, że koniec podróży z każdym dniem będzie bliżej, że kilka miesięcy jeszcze, a ujrzymy tę Kalifornię, do której z takim trudem zdążamy.

Pierwsze dni podróży nie szły jednak zbyt pomyślnie. Za Missouri, aż do podnóża gór Skalistych step na ogromnych przestrzeniach wznosi się ciągle w górę, bydło zatem pociągowe męczyło się łatwo i ustawało często. Przytem do wielkiej rzeki Plata nie mogliśmy się zbliżyć, bo choć już i powódź opadła, ale zbyt to pora wielkich łowów wiosennych, mnóstwo Indyan krążyło koło rzeki, czyhając na stada bawołów, ciągnące na północ. Służba nocna stała się ciężką i nużącą; żadna noc nie obchodziła się bez alarmów, zaś czwartego dnia po wyruszeniu z wideł, rozbiłem znowu znaczny oddział czerwonoskórnych rabusiów, w chwili gdy chcieli uczynić "stampead", to jest napad na nasze muły. Co jednak było najprzykrzejsze, to noce bez ognisk, bo, nie mogąc się zbliżyć do Platy, częstokroć nie mieliśmy czem palić, a właśnie rankami poczęły mżyć drobne deszcze, gnój więc bawoli, który od biedy mógł zastąpić drzewo, rozmiękł i nie chciał płonąć.

Ciągi bawołów napełniały mnie także niepokojem. Czasem widzieliśmy na widnokręgu stada po

kilka tysięcy sztuk, idące jak burza naprzód i druzgocące wszystko przed sobą. Gdyby takie stado wpadło na tabór, zginęlibyśmy prawie bez ratunku. Na dobitkę złego, step zaroił się teraz wszelkim drapieżnym zwierzem, albowiem za bawołami ciągnęły prócz Indyan straszne szare niedźwiedzie, kaguary, wielkie wilki z Kanzasu i Indyjskiego terytoryum. Nad małymi strumieniami, przy których zatrzymywaliśmy się czasem na noclegi, widywaliśmy o zachodzie słońca całe menażerye, przychodzące pić po dziennym upale. Raz niedźwiedź rzucił się na naszego metysa Wichitę, i gdybyśmy mu nie nadbiegli ze starym Smithem i drugim przewodnikiem, Tomem, w pomoc, rozszarpałby go niezawodnie. Rozbiłem potworowi głowę toporem, którym uderzyłem z taką siłą, że trzonek z tęgiego drzewa hikoro pękł na dwoje; jednakże zwierz rzucił się jeszcze na mnie i padł dopiero wtedy, gdy Smith i Tom wystrzelili mu w ucho z karabinów. Srogie te bestye tak były zuchwałe, że nocą podchodziły pod sam tabór i że w ciągu tygodnia zabiliśmy dwie, nie dalej niż o sto kroków od wozów. Psy czyniły wskutek tego od zmroku aż do świtu taki harmider, że oka nie było podobna zmrużyć.

Niegdyś kochałem takie życie, i gdy rok temu w Arkanzasie w większych jeszcze bywałem opałach, było mi właśnie jak w raju. Ale teraz, skorom sobie pomyślał, że tam na wozie moja ukochana żona, zamiast spać, drży o mnie i trawi swoje zdrowie niepokojem, odsyłałem do piekła wszystkich Indyan, i niedźwiedzie, i kuguary, a natomiast pragnąłem w duszy zapewnić jak najprędzej spokój tej istocie tak wątłej i delikatnej, a tak uwielbionej, że na ręku chciałbym ją wiecznie nosić. Wielki też ciężar spadł mi z serca, gdym po trzech tygo-

dniach takich przepraw, ujrzał nakoniec białawe, jakoby kredą zamulone wody rzeki, którą teraz nazywają Republican-River, a która wtedy nie miała jeszcze angielskiego nazwiska. Szerokie pasy czarnej łoziny, ciągnące się żałobnym szlakiem koło białych wód, mogły dostarczyć nam w obfitości paliwa, a choć ten gatunek łozy strzela w ogniu z wielkim hukiem i pryska iskrami, lepiej się przecie pali niż mokry gnój bawoli. Naznaczyłem tu znowu dwa dni odpoczynku, ile że już skały, rozproszone tu i owdzie przy brzegach rzeki, zwiastowały blizkość trudnej do przebycia, górzystej krainy, leżącej po obu stronach grzbietu gór Skalistych. Byliśmy już i tak na znacznej wysokości nad poziomem morza, co można było poznać z chłodów nocnych.

Ta nierówność temperatury dziennej i nocnej dokuczała nam bardzo. Kilku ludzi — a między innymi i stary Smith — zapadło na febry i musiało iść na wozy. Zarody choroby czepiały się ich prawdopodobnie jeszcze na niezdrowych brzegach Missouri, a do wybuchu przyczyniły się niewczasy. Blizkość jednak gór dawała nadzieję prędkiego wyzdrowienia; tymczasem żona moja pielęgnowała ich z poświęceniem, wrodzonem anielskim tylko sercom.

Ale też mizerniała i sama. Nieraz, gdym się rannkiem obudził, pierwsze moje spojrzenie padało na tę śliczną twarzyczkę, uśpioną przy mnie, i serce biło niespokojnie na widok bladości, która ją okrywała, i sinych podkówek tworzących się przed oczami. Bywało, że gdym tak na nią patrzał, to się budziła, uśmiechała się do mnie i zasypiała znowu. tedy czułem, że oddałbym pół mego dębowego zdrowia, byleśmy już byli w Kalifornii.

Ale to jeszcze była daleko, daleko! Po dwóch dniach ruczyliśmy dalej i wkrótce, zostawiwszy na

południe Republican-River, zdążaliśmy wzdłuż wideł Białego Człowieka ku południowym widłom Platy, leżącym w znacznej części już w Kolorado. Kraina stawała się za każdym krokiem górzystszą i naprawdę byliśmy już w "kanionie", po którego obu brzegach piętrzyły się w dalekości wyżej i coraz wyżej granitowe skały, to stojące samotnie, tu wydłużone i równe nakształt murów, to zmykające się ciaśniej, to odskakujące od siebie w obie strony. Drzewa też już nie brakło, bo wszystkie szpary i rozpadliny skał porosłe były karłowatą sosną i również karłowatą dębiną; gdzieniegdzie źródła dzwoniły po kamienistych ścianach; na owych murach skalnych skakały płochliwe wielkożerce. Powietrze było zimne, czyste, zdrowe. Po tygodniu febry ustały. Muły tylko i konie, zmuszone, zamiast soczystą trawą Nebraski, karmić się paszą, w której wrzos przemagał, chudły coraz bardziej i stękały coraz głośniej, ciągnąc pod górę ciężkie i ładowne wozy nasze.

Nakonice pewnego po południa ujrzeliśmy przed sobą jakby jakieś majaki, jakby jakieś czubiaste chmury, nawpół roztopione w dalekości, mgliste, sine, błękitne -- białe i złote na czubach, a ogromne — od ziemi do nieba.

Na ten widok krzyk powstał w całym taborze; ludzie powdrapywali się na dachy wozów, aby widzieć lepiej, zewsząd zaś brzmiały okrzyki: "Rocky Mountains! Rocky Mountains!" Kapelusze powiewały w powietrzu, a na twarzach malowało się uniesienie.

Tak Amerykanie witali swoje góry Skaliste, ja zaś przysunąłem się do mego wozu i przycisnąwszy żonę do piersi, raz jeszcze ślubowałem jej w duchu wiarę wobec tych niebotycznych ołtarzy Bożych, od których biła jakaś tajemniczość uroczysta, powaga.

niedostępność i ogrom. Słońce zachodziło, właśnie i wkrótce mrok pokrył całą krainę, tylko te olbrzymy w ostatnich promieniach wydawały się jakby niezmiene jakieś stosy rozpalonego węgla i lawy. Później ta ognista czerwoność poczęła przechodzić w fiolet coraz ciemniejszy, a w końcu wszystko znikło i zlało się w jedną ciemność, przez którą patrzały na nas z góry migotliwe oczy nocy, gwiazdy.

Byliśmy jednak jeszcze przynajmniej o sto pięćdziesiąt mil angielskich od głównego łańcucha; jakoż drugiego dnia zniknął nam z oczu, zakryty skałami, potem znów ukazywał się i znów niknął, w miarę jak szły skręty naszej drogi. Postępowaliśmy zwolna, bo coraz nowe przeszkody tamowały drogę, a choć trzymaliśmy się, ile można, koryta rzeki, często, gdy brzegi stawały się zbyt strome, musieliśmy je objeżdżać i wyszukiwać przejść sąsiedniemi dolinami. Grunt w nich pokryty był szarym wrzosem i dzikim groszkiem, nieprzydatnym nawet dla mułów, a stanowiącym niemałą zawadę w podróży, albowiem długie a silne jego łodygi, wkręcając się w koła, utrudniały ich obrót.

Czasem trafialiśmy na rozpadlinę i pęknięcie ziemi niepodobne do przebycia, , a długie na kilkaset jardów, które również trzeba było omijać. Raz wraz przewodniczący Wichita i Tom, wracali, donosząc o nowych przeszkodach. Grunt jeżył się niespodzianie skałami, albo urywał nagle. Pewnego dnia zdawało się, że jedziemy doliną, gdy nagle dolinie zabrakło zamykającej ją krawędzi, a zamiast niej otworzyła się przepaść tak bezdenna, iż wzrok ze strachem ślizgał się i zlatywał na dół po prostopadłej ścianie, a głowę zawrót brał. Olbrzymie dęby, rosnące na dnie otchłani, wydawały się jakby czarne maleńkie krzaczki, a bawoły, pasące się między dę-

bami, jak żuki. Pogrążaliśmy się coraz bardziej w kraj kamieni, złomów, rumowisk, urwisk i skał, narzucanych jedne na drugie z dzikim jakimś bezładem. Echa, odbite od granitowych sklepień, — powtarzały po dwakroć i po trzykroć przekleństwa woźniców i kwik mułów. Wozy nasze, które na stepie, wystając mocno nad powierzchnię gruntu, wydawały się ogromne i wspaniałe, tu wobec tych kamiennych pionów zmalały nam dziwnie w oczach i tak nikły w gardzielach wąwozów, jakby pożarte przez jaką olbrzymią paszczę. Małe wodospady, czyli tak zwane przez Indyan "śmiejące się wody", tamowały nam co kilkaset kroków drogę; trud wyczerpywał siły nasze i zwierząt, a tymczasem, gdy chwilami właściwy łańcuch gór ukazywał się na widnokręgu, wydawał się zawsze równie odległy i mglisty. Na szczęście, ciekawość przemagała w nas nawet nad zmęczeniem, a ciągła zmiana widoków utrzymywała ją w natężeniu. Żaden z moich ludzi, nie wyłączając tych, którzy byli rodem z Aleganów, nigdy nie widział podobnie dzikich okolic; ja sam patrzałem ze zdumieniem na te "kamiony", po których brzegach nieokiełzana fantazya przyrody poustawiała jakby zamki, fortece i całe kamienne grody. Od czasu do czasu spotykaliśmy Indyan, ale i ci odmienni byli od stepowych, bardziej rozprószeni i daleko dziksi.

Widok białych budził w nich płochliwość, pomieszaną z pragnieniem krwi. Zdawali się jeszcze okrutniejsi od swych braci z Nebraski; wzrost ich był wyższy, płeć daleko ciemniejsza, a rozsadzone nozdrza i latający wzrok dawały im wyraz dzikich zwierząt, złowionych w klatkę. Ruchy ich miały również zwierzęcą prawie żywość i nieufność. Mówiąc, dotykali wielkim palcem swoich policzków,

malowanych naprzemian w białe i niebieskie paski. Broń ich składały toporki i łuki, wyrobione z pewnego gatunku twardego głogu górskiego, tak potężne, że ludzie moi nie mieli dość sił, by je naciągnąć. Dzicy ci w znacznej liczbie mogli być bardzo niebezpieczni, odznaczali się bowiem niepohamowaną drapieżnością; na szczęście, byli bardzo nieliczni, i największy oddział, jaki napotkaliśmy, nie przenosił piętnastu wojowników. Nazywali się sami Tabeguacze, Weeminucze i Yampos. Języka ich metys nasz Wichita, jakkolwiek biegły w narzeczach indyjskich, zupełnie nie mógł zrozumieć, dlatego żadną miarą nie mogliśmy dojść, czemu wszyscy, ukazując na góry Skaliste, a potem na nas, zamykali i otwierali dłonie, jakby wskazując nam palcami jakąś liczbę.

Jednakże droga stawała się tak trudną, że przy największych wysileniach czyniliśmy ledwie do piętnastu mil dziennie. Przytem zaczęły nam padać konie, jako mniej od mułów wytrzymałe i więcej w paszy wybredne; ludzie także opadali z sił, dniami całymi bowiem musieli ciągnąć wozy na sznurach na współkę z mułami, lub podtrzymywać je w miejscach niebezpiecznych. Powoli zniechęcenie poczęło słabszych ogarniać; kilku rozchorowało się na ból kości, a jeden, któremu z wysilenia krew rzuciła się ustami, umarł we trzy dni, przeklinając chwilę, w której przyszło mu do głowy porzucić port w New Yorku. Byliśmy wtedy w najgorszej części drogi, około małej rzeki, zwanej przez Indyan Kiowa. Nie było tu skał tak wyniosłych, jak na wschodniej granicy Kolorado, ale cały kraj, — jak okiem sięgnąć, jeżył się większymi i mniejszymi odłamami, narzucanymi bezładnie jedne na drugie. Złomy te, to sterczące, to poobalane, przedstawiały

widok jakby zrujnowanych cmentarzy, poprzewracanymi nagrobkami. Były to prawdziwe — "złe ziemie" Kolorado, odpowiednie tym, które ciągną się na północ Nebraski. Znajwiększem wysileniem wydobyliśmy się z nich zaledwie w ciągu tygodnia.

VII.

Zatrzymaliśmy się dopiero u podnóża gór Skalistych.

Strach mnie ogarniał, gdym spoglądał zbliska na ów cały świat granitów, którego boki upowite są mgłami, a szczyty giną gdzieś w wiecznych śniegach i chmurach. Ogrom ich i milczący majestat przygniatał mnie do ziemi, więc korzyłem się przed Panem, prosząc Go, aby mi pozwolił przeprowadzić, przez te niezmierne mury, moje wozy, moich ludzi i moją żonę ukochaną. Po takiej prośbie śmielej zapuściłem się w kamienne gardła i korytarze, które gdy zamknęły się za nami, byliśmy od reszty świata odcięci. Nad nami niebo, na niem kilka orłów kraczących, koło nas wiecznie granit i granit: prawdziwy labirynt przejść, sklepień, jarów, rozpadlin, przepaści, wież, milczących gmachów i jakby olbrzymich uśpionych komnat. Taka tam uroczystość i dusza pod takim kamiennym uciskiem, że człowiek sam nie wie, dlaczego, zamiast mówić głośno, szèpce pocichu. Zdaje mu się, że droga ciągle zamyka się przed nim, że jakiś głos mówi mu: "Nie idź dalej, bo tam już niema przejścia!" Zdaje mu się, że gwałci jakąś tajemnicę, na której Bóg sam położył pieczęć. Nocami, gdy te sterczące zastępy

stawały się czarne jak kir, a księżyc obrzucał srebrnym żałobnym szlakiem ich szczyty, gdy jakieś dziwne cienie powstawały ze "śmiejących się wód", dreszcz przejmował najhartowniejszych awanturników. Godziny całe spędzaliśmy przy ogniskach, — spoglądając z jakimś zabobonnym przestrachem w czarne, oświetlone krwawym blaskiem głębie wąwozów, jakby w oczekiwaniu, że coś strasznego u każe się z nich lada chwila.

Raz znaleźliśmy pod wgłębieniem skały szkielet człowieka, a choć z resztek włosów, przysłych na czaszce, i zbroni poznaliśmy, że był indyjski, jednak złowróżbne uczucie ścisnęło nasze serca, bo ten trup z wyszczerzonymi zębami zdawał się nas ostrzegać, że kto się tu zabłąkał, ten już nie wyjdzie. Tego samego dnia metys Tom zabił się na miejscu, spadłszy z koniem z krawędzi skalnej. Smutek jakiś ponury ogarnął cały tabór; dawniej jechaliśmy gwarno i wesoło, teraz nawet woźnice przestali kląć, i karawana posuwała się w milczeniu, przerywanem tylko skrzypieniem kół. Muły też narowiły się coraz częściej, a gdy jedna para stawała, jak wryta, wszystkie wozy, idące za nią, musiały się zatrzymywać. Najgorzej gryzło mnie to, że w tych chwilach tak ciężkich i trudnych, w których żona potrzebowała więcej niż kiedykolwiek mojej obecności i poparcia, nie mogłem być przy niej, bo prawie musiałem się dwoić i troić, aby dawać przykład, krzepić odwagę i ufność. Ludzie przenosili wprawdzie trudy z wytrwałością, Amerykanom wrodzoną, ale poprostu gonili resztką sił. Jedno tylko moje zdrowie wytrzymywało wszystkie trudy. Bywały noce, że i dwóch godzin nie miałem odpoczynku; ciągnąłem wozy razem z innymi, ustawiałem straże, objeżdżałem majdan, słowem, pełniłem służbę dwa razy je-

szcze cięższą niż każdy z ludzi; ale widać szczęście dodawało mi sił. Bo też, gdym strudzony i zbity przychodził wreszcie do mego wozu, znajdowałem tam wszystko, com miał na świecie najdroższego: serce wierne i ukochaną rękę, która ocierała moje uznojone czoło. Lilian, choć cierpiąca trochę, nie zasypiała umyślnie nigdy przed mojem przybyciem, a gdym jej czynił o to wymówki, usta zamykała mi całowaniem i prośbą, abym się nie gniewał na nią. Gdym ją ułożył już do snu, usypiała, trzymając mnie za rękę. Często w nocy, gdy się zbudziła, otulała mnie skórami bobrowemi, bym się wywczasował lepiej. Zawsze łagodna, słodka, kochająca i dbała o mnie, doprowadziła mnie do tego, żem ją poprostu ubóstwiał i całowałem brzegi jej sukni, jakby rzecz jaką najświętszą, a ten wóz nasz zmienił się dla mnie w kościół prawie. Taka malutka wobec tych niebotycznych ścian kamiennych, po których wodziła wzniesionymi oczyma, zakryła mi je jednak tak, że przy niej niknęły z moich oczu, i że wśród tych ogromów ją samą tylko widziałem. Cóż dziwnego, że gdy innym brakło sił, ja miałem je jeszcze i czułem, że póki o nią będzie chodziło, nigdy mi ich nie zbraknie.

Po trzech tygodniach drogi dostaliśmy się wreszcie do obszerniejszego kanionu, który tworzy rzeka Biała. U wejścia do niego, Indyanie z pokolenia Uintah przygotowali nam zasadzkę, która zmieszała nas cokolwiek; ale gdy ich czerwonawe strzały poczęły dosięgać aż na dach wozu mojej żony, uderzyłem na nich wraz z ludźmi z taką natarczywością, że natychmiast poszli w rozsypkę. Wybiliśmy ich trzy czwarte. Jedyny jeniec, jakiego wzięliśmy żywcem, młody, szesnastoletni chłopiec, przyszedłszy trochę do siebie ze strachu, począł, ukazując

kolejno na nas i na zachód, powtarzac te same giesta, jakie czynili Yampasowie. Zdawało nam się, że chce powiedzieć, iż biali ludzie znajdują się w pobliżu, ale domysłowi temu trudno było dać wiarę.

Tymczasem okazał się on prawdziwym i łatwo sobie wyobrazić zdziwienie i radość moich ludzi, — skoro drugiego dnia, zjeżdżając z wyniosłej płaszczyzny, ujrzeliśmy na dnie obszernej doliny, leżącej u stóp naszych nietylko wozy, lecz i domy, pobudowane z okrąglaków, świeżo wyszłych z pod siekiery. Domki te tworzyły koło, w którego środku wznosiła się obszerna szopa bez okien; środkiem doliny płynął strumień, przy nim błąkały się stada mułów, strzeżone przez konnych ludzi. Obecność istot mojej rasy w tem miejscu przejęła mnie zdumieniem, które wkrótce przeszło w trwogę, gdym pomyślał, że to mogą być "outlawy", chroniący się na pustynię po dopełnionych zbrodniach przed karą śmierci. Wiedziałem już z doświadczenia, że podobne wyrzutki ze społeczeństwa posuwają się często w kraje bardzo odległe i zupełnie puste, gdzie tworzą oddziały, mające doskonałą wojenną organizacyę. Częstokroć bywali oni nawet założycielami nowych jakoby społeczeństw, które początkowo żyły z rozbójniczych wypraw w kraje ludniejsze, później zaś, przy coraz większym napływie ludności, zmieniały się stopniowo w rządne Stany. Spotykałem się nieraz z "outlawami" na górnym biegu Mississippi, gdy jako skwater, spławiałem drzewo do Nowego Orleanu, i nieraz krwawe miewałem z nimi zajścia, okrucieństwo więc ich i bitność były mi również znane dobrze.

Nie obawiałbym się ich, gdyby między nami nie było Lilian, ale na myśl o niebezpieczeństwie, w jakieby popadła ona w razie przegranej bitwy i mojej

śmierci, włosy powstawały mi na głowie i pierwszy raz w życiu bałem się jak ostatni tchórz. A byłem przekonany, że jeśli to są "outlawy", to żadną miarą nie unikniemy bitwy, sprawa zaś będzie trudniejsza, niż z Indyanami.

Natychmiast więc, ostrzegłszy ludzi o prawdopodobnem niebezpieczeństwie, uszykowałem ich do boju. Byłem gotów albo sam zginąć, albo wybić co do nogi to gniazda szerszeni i tym celem postanowiłem pierwszy na nich uderzyć. Tymczasem z doliny spostrzeżono nas i dwóch jeźdźców puściło się co koń wyskoczy ku nam. Odetchnąłem na ten widok, bo "outlawy" nie byliby przecie wysyłali poselstwa. Jakoż okazało się, że byli to strzelcy kompanii amerykańskiej, handlującej futrami, którzy w tem miejscu mieli swój obóz letni, czyli tak zwany "summercamp". Zamiast więc bitwy czekało nas nas najgościnniejsze przyjęcie i wszelka pomoc ze strony tych surowych, ale poczciwych strzelców pustyni. Jakoż przyjęli nas z otwartemi rękoma, my zaś dziękowaliśmy Bogu, że wejrzawszy na nędzę naszą, zgotował nam odpoczynek tak słodki. Oto już pół-trzecia miesiąca upływało, jak opuściliśmy Big Blue River, siły nasze były wyniszczone, muły nawpół żywe; tu zaś mogliśmy wypocząć znowu z tydzień jaki, we wszelakiem bezpieczeństwie, przy obfitości pokarmu dla nas, a paszy dla naszych zwierząt.

Było to po prostu dla nas zbawienie. Mister Thorston, naczelnik obozu, człowiek z wychowaniem i światły, poznawszy, że nie jestem zwykłym gburem stepowym, poprzyjaźnił się ze mną odrazu i ofiarował swój domek na mieszkanie dla mnie i Lilian, której zdrowie cierpiało coraz mocniej.

Dwa dni przetrzymałem ją w łóżku. Tak już była utrudzona, że przez pierwszych dwadzieścia czte-

ry godzin nie otworzyła prawie oczu; ja przez ten czas czuwałem, aby nic nie mieszało jej spoczynku, przesiadując przy jej łóżku i wpatrując się w nią całemi godzinami. Po dwóch dniach była już tak wzmocniona, że mogła wychodzić, ale nie pozwoliłem się jej tknąć żadnej roboty. Ludzie też moi przez pierwsze kilka dni spali jak kamienie, gdzie który u padł, poczem dopiero wzięliśmy się do naprawy wozów, odzienia i do prania bielizny. Poczciwi strzelcy pomagali nam we wszystkiem szczerze. Byli to po największej części Kanadyjczycy najmujący się kompanii handlowej. Zimę spędzili na łowach, łapiąc we wniki bobry, bijąc skunki i kuny, latem zaś ściągali się do tak zwanych "summer camps", czyli letnich obozów, w których bywały czasowe składy futer. Przyrządzone tam jako tako skóry szły dopiero pod konwojem na wschód. Służba tych ludzi, najmujących się na kilka lat, była nad wszelki wyraz ciężką; musieli bowiem udawać się w okolice niezmiernie odległe i dziewicze, gdzie wszelki zwierz znajdował się wprawdzie w obfitości, ale gdzie żyli w ciągłych niebezpieczeństwach i ustawicznej wojnie z czerwonoskórymi. Prawda, że otrzymywali za to wysoką zapłatę, większość ich jednak służyła nie dla pieniędzy, ale z miłości do życia w pustyniach i do przygód, których nigdy nie brakło. Był też to wybór ludzi wielkiej siły i zdrowia, zdolnych do znoszenia wszelkich trudów. Widok ich ogromnych postaci, futrzanych czapek i długich karabinów przypominał żonie mojej powieści Coopera, które czytywała w Bostonie; dlatego też patrzała z wielką ciekawością na cały obóz i na wszelkie jego urządzenia. Karność, której sami przestrzegali, była między nimi taka, jakby w zakonie rycerskim i Thorston, główny agent kompanii, a zarazem patron ich, dzier-

żył władzę zupełnie wojskową. Byli to przytem ludzie niezmiernie poczciwi, dlatego czas upływał nam wśród nich doskonale; nasz tabór podobał się im również bardzo, i mówili, że nigdy jeszcze nie spotkali tak karnej i porządnej karawany. Thorston chwalił wobec wszystkich mój plan podróży drogą północną, zamiast na St. Louis i Kansas. Opowiadał nam, że karawana złożona z trzystu głów, która poszła tamtędy pod wodzą niejakiego Marcwooda, po licznych cierpieniach z powodu upału i szarańczy, straciła zwierzęta pociągowe, a w końcu została w pień wycięta przez Indyan Arapahoe'ów. Strzelcy kanadyjscy wiedzieli to od samychże Arapahoe'ów, których z kolei wybili mocno w wielkiej bitwie i odebrali im przeszło sto skalpów, a między innymi i skalp Marcwooda. Wiadomość ta wpłynęła silnie na moich ludzi tak, że sam stary Smith, najwytrawniejszy włóczęga, który z początku przeciwny był drodze na Nebraskę, powiedział mi wobec wszystkich, że jestem więcej "smart" od niego i że uczyć mu się przy mnie. Przez czas pobytu w gościnnym letnim obozie, z którym stałą zawarłem przyjaźń, poznałem tam także sławnego na całe Stany Micka, który nie należał do obozu, ale samotrzeć, wraz z dwoma głośnymi wnicznikami, Lincolnem i Kidem Carstonem, włóczył się po pustyniach. Dziwni ci ludzie we trzech prowadzili prawdziwe wojny z całemi pokoleniami indyjskiemi, a zręczność ich, oraz nadludzka odwaga, zawsze zapewniały im zwycięstwo. Imię Micka, o którym napisano dziś niejedną książkę, było tak straszne ndyanom, że słowo tego więcej znaczyło dla nich, niż traktaty z rządem Stanów. Rząd też często używał go do pośrednictwa, a w końcu zamianował gubernatorem Oregonu. Gdy go poznał miał już lat blisko pięćdziesiąt, ale włosy jego czarne były,

jak pióro kruka, a w spojrzeniu mieszała się dobroć serca z siłą i niepohamowaną śmiałością. Uchodził przytem za najsilniejszego mężczyznę w całych Stanach, i gdym się z nim próbował, pierwszym byłem ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, którego nie mógł powalić o ziemię. Człowiek ten z wielkiem sercem polubił niezmiernie Lilian i błogosławił ją, ilekroć nad odwiedzał, na odjezdnem zaś podarował jej parę ślicznych maleńkich mokasinów, wyrobionych przez niego ze skóry daniela. Podarunek ten przydał się bardzo, bo biedactwo moje nie miało już żadnej pary całych trzewików.

Wyruszyliśmy wreszcie w dalszą drogę pod dobrą wróżbą, opatrzeni w dokładne wskazówki, jakich kanionów trzymać się w pochodzie i w zapasy solonej zwierzyny. Niedość na tem. Zacny Thorston pozabierał co gorsze nasze muły, a dał nam natomiast swoje silne, oddawna wypoczęte. Przytem Mick, który był już w Kalifornii, opowiadał nam cuda prawdziwe nietylko o jej bogactwie, ale o słodkiem powietrzu, o ślicznych lasach dębowych i kanionach górskich, jakim równych niema w całych Stanach. Zaraz więc wielka otucha wstąpiła nam w serca, bo nie wiedzieliśmy o krzyżach, które czekały nas przed dojściem do tej ziemi obiecanej. Odjeżdżając, długo powiewaliśmy kapeluszami na "remember" poczciwym Kanadyjczykom. Co do mnie, dzień ten odjazdu na wieki został wyryty w mem sercu, tego bowiem jeszcze południa, ukochana gwiazda mojego życia, objąwszy mnie obu rękami za szyję, poczęła, cała czerwona ze wstydu i wzruszenia szeptać mi do ucha coś takiego, co gdym usłyszał, schyliłem się do jej nóg i płacząc z wielkiego wzruszenia, całowałem kolana tej już nietylko żony mojej, ale i przyszłej matki mego dziecięcia.

VIII.

We dwa tygodnie po opuszczeniu letniego obozu, wjechaliśmy w granice Utahu, a podróż, lubo po staremu nie bez trudów, jednakże z początku szła raźniej. Mieliśmy jeszcze do przebycia zachodnią część gór skalistych, tworzących cały plot rozgałęzień pod nazwą Wahsatch Mountains. Ale dwie znaczne rzeki: Green i Grand River, których zlew tworzy ogromne Kolorado i liczne przytoki tychże rzek, przecinające góry we wszystkich kierunkach, otwierają w nich dość łatwe przejścia. Przejściami temi dotarliśmy po niejakim czasie aż do jeziora Utah, od którego zaczynają się słone ziemie. Otoczył nas kraj dziwny, jednostajny, posępny: wielkie doliny stepowe, otoczone amfiteatrami tępo uciętych skał, następują tu jedne po drugich, wiecznie takież same i nużąco jednostajne. Jest w tych pustyniach i skałach jakaś surowość, nagość i martwota, tak, że na widok ich przychodzą na myśl pustynie biblijne. Jeziora tu słone o brzegach jałowych i bezpłodnych.

Drzew niema: łysa na ogromnych przestrzeniach ziemia poci się solą i potażem, lub pokrywa się szarem zielem o grubych, wałkowatych listkach, które rozłamane, sączą sok lepki i słony. Podróż to nudna i gnębiąca, bo upływają całe tygodnie, a pu-

stynia ciągnie się bez końca i wiecznie jednakie, jednako skaliste otwiera się płaszczyzny. Siły nasze poczęły się znów wyczerpywać. Na stepach otaczała nas jednostajność życia, tu jednostajność śmierci.

Jakieś pognębienie i obojętność na wszystko opanowała zwolna ludzi. Minęliśmy Utah: ciągle te umarłe ziemie. Wjechaliśmy do Newady: to samo. Słońce piekło tak, że głowa pękała z bólu; promienie odbite od pokrytej solą powierzchni, raziły oczy, w powietrzu unosił się pył jakiś, niewiadomo skąd się biorący, który rozpalał powieki. Bydło pociągowe raz wraz chwytało pociągami ziemię, a często padało, rażone słońcem, jakby piorunem. Większość ludzi trzymała się tylko myślą, że jeszcze tydzień, lub dwa, i Sierra Nevada ukażą się na widnokręgu, a za niemi upragniona Kalifornia. Tymczasem upływały dni i tygodnie w trudach coraz większych. W ciągu tygodnia trzy wozy musieliśmy zostawić, bo nie było już dosyć zaprzęgów. O! ziemia to była nędzy i niedoli! W Nevadzie pustynia stała się jeszcze głuchszą, a stan nasz gorszy, bo rzuciły się na nas choroby.

Pewnego ranka ludzie przyszli mi powiedzieć, że Smith chory. Poszedłem zobaczyć, co mu jest i z przerażeniem przekonałem się, że to tyfus powalił starego górnika. Tylu klimatów nie zmienia się bezkarnie; zmęczenie mimo krótkich odpoczynków odzywa się ustawicznie, a zarody chorób rozwijają się z utrudzenia i niewygód. Lillian, którą Smith kochał jak dziecko własne i w dzień ślubu błogosławił — uparła się go pilnować. Ja, słaby człowiek, drżałem o nią duszą całą, alem jej przecie nie mógł zabronić być chrześcianką. Przesiadywała też nad chorym całe dni i noce wraz z ciotką Atkins i ciotką Grossvenore, które poszły za jej przykładem. Dru-

giego dnia jednak stary stracił przytomność, a ósmego od dnia choroby umarł na ręku Lilian. Pochowałem go, wylewając rzewne łzy nad zwłokami tego, który nietylko był moim pomocnikiem i prawą we wszystkiem ręką, ale prawdziwym ojcem dla nas obojga. Myśleliśmy, że po tak bolesnej ofierze, Bóg zmiluje się nad nami, ale to był dopiero początek krzyżyków, albowiem tego samego dnia zapadł inny górnik, a potem co dnia prawie kładł się ktoś na wozie i opuszczał go dopiero, znoszony na naszych rękach do grobu. I tak wlekliśmy się po pustyni, a za nami wlokła się zaraza, rzucając się na coraz nowe ofiary. Z kolei zachorowała i ciotka Atkins, ale dzięki staraniom Lilian, choroba jej przesiliła się szczęśliwie. Dusza zamierała wówczas we mnie każdej chwili i nieraz gdy Lilian była przy chorych, a ja gdzieś tam na straży na przedzie taboru, sam wśród ciemności, to rękoma ściskałem skronie i w modlitwie do Boga kładem się jak pies pokorny, skowycząc o milosierdzie dla niej i nie śmiejąc wymówić: "Bądź Twoja, a nie moja wola". Czasem w nocy, gdyśmy nawet byli przy sobie, budziłem się nagle, bo mi się zdawało, że zaraza uchyla płótno mego wozu i zaglądą, szukając Lilian. Wszystkie te chwile, w których nie byłem przy niej, a takich było najwięcej, zmieniły się w jedną męczarnię dla mnie, pod wichrem. Dotąd jednak Lilian wytrzymywała wszystkie trudy i wysilenia. Najsilniejsi ludzie padali, a ją widziałem zawsze wychudłą wprawdzie, bladą i z coraz wyraźniejszymi znakami macierzyństwa na czole, ale zdrową, przechodzącą od wozu do wozu. Nie śmiałem nawet pytać jej, czy zdrowa, tylkom ją brał w ramiona i przyciskał do piersi długo i długo, a gdym i chciał co rzec, to mnie tak coś ściskało, żem słowa nie mógł przemówić.

Zwolna jednak nadzieja zaczęła we mnie wstępować, a w głowie przestawały mi huczeć straszne słowa Biblii: "**Who worshipped and served the creature more than the Creator!?**

Zbliżaliśmy się już do zachodniej części Nevady, gdzie za pasmem martwych jezior, słone ziemie i pustynia skalista kończą się, a zaczyna się znowu pas stepowy, równiejszy, zieleńszy i bardziej żyzny. Gdy po dwóch dniach drogi nie zachorował nikt, myślałem, że już się skończyła nędza nasza. A czas był wielki po temu!

Dziewięciu ludzi zmarło, sześciu było jeszcze chorych; pod wpływem strachu zarazy karność zaczęła się była rozprzęgać; konie nam były powyzdychały prawie wszystkłe, a muły były podobniejsze do szkieletów zwierzęcych, niż do zwierząt. Z pięćdziesięciu wozów, z którymi wyruszyliśmy z letniego obozu, już tylko trzydzieści dwa wlokły się po pustyni. Przytem ponieważ nikt nie chciał iść na polowanie, z obawy, aby nie upaść gdzie zdala od obozu i nie pozostać bez pomocy, zapasy więc nieprzymnażane kończyły się. Od tygodnia już, pragnąc je zaoszczędzić, żywiliśmy się czarnemi wiewiórkami ziemnemi, ale cuchnące mięso ich uprzykrzyło się nam tak, iż z największem obrzydzeniem braliśmy je do ust. Zresztą i tej nikczemnej strawy nie było poddostatkiem. Za jeziorami jednak zwierzyna stała się częstszą, a pasza obfitszą.

Spotkaliśmy znowu Indyan, którzy napadli nas wbrew swoim zwyczajom w biały dzień i na równym stepie, że zaś mieli kilkanaście sztuk broni palnej, zabili nam czterech ludzi. Ja w zamieszaniu zostałem ranny w głowę toporkiem tak silnie, że wieczorem tegoż dnia straciłem od upływu krwi przytomność. Ale byłem prawie szczęśliwy, że tak się stało, teraz

bowiem Lilian pilnowała mnie, nie chorych, od których mogła dostać tyfusu. Trzy dni przeleżałem na wozie i to były dobre trzy dni, bo byłem ciągle przy niej, mogłem całować jej ręce, gdy mi zmieniała bandaże i patrzeć na nią. Trzeciego dnia byłem już w stanie siąść na koń, ale dusza zesłabła we mnie i udawałem jeszcze chorego przed sobą samym, byle tylko być z nią dłużej.

Jednakże teraz dopiero poznałem, jak byłem strudzony i jakie zmęczenie wychodziło z kości moich, gdym leżał. Bom przecież i nacierpiał się także poprzednio niemało ze strachu o żonę. Wychudłem też jak kościotrup jaki, a jak dawniej ja na moją ukochaną, tak teraz ona na mnie spoglądała z trwogą i niepokojem. Ale, gdy głowa przestała już chwiać mi się z ramienia na ramię — nie było rady! Trzeba było siadać na ostatnią żywą jeszcze szkapę i prowadzić dalej tabór, tembardziej, że jakieś niepokojące oznaki otoczyły nas prawie ze wszystkich stron. Upał stał się prawie nadnaturalny, a w powietrzu unosiła się jakby jakaś mgła brudna, jakby dym odległej srzeżogi. Widnokrąg zamącił się i zaciemnił; nieba nie było można dojrzeć, a promienie słońca przychodziły na ziemię rude i chorobliwe. Zwierzęta okazywały dziwny niepokój i oddychały chrapliwie, wyszczerzając zęby; my także piersiami wciągaliśmy ogień. Myślałem, że to jest skutek jednego z tych wiatrów duszących z pustyni Gila, o których opowiadano mi na wschodzie, ale naokół panowała cisza, i żadne źdźbło trawy nie poruszało się na stepie. Wieczorami słońce zachodziło takie czerwone, jak krew, a noc nastawała duszna. Chorzy jęczeli o wodę, psy wyły, ja zaś nocami całemi krążyłem o kilka mil od obozu, aby się przekonać, czy się czasem stepy nie palą. Ale nigdzie nie było widać łuny.

Uspokoiłem się wreszcie myślą, że to istotnie musi być srzeżoga, ale z pożaru, który już wygasł. W dzień zauważyłem, jak zające, antylopy, bawoły, wiewiórki nawet ciągną pośpiesznie na wschód, jakby uciekając od tej Kalifornii, do której dążyliśmy z takiem wysileniem. Że jednak powietrze stało się trochę czystsze, a upał mniejszy, ugruntowałem się ostatecznie w myśli, że pożar miał miejsce, ale już przeszedł, zwierz zaś szuka tylko paszy gdzieindziej. Trzeba nam było tylko dotrzeć jak najprędzej na miejsce, by się przekonać, czy szlak pożarny można przebyć, czy też należy go objechać. Wedle mego wyrachowania, do gór Sierra Nevada nie mogło być więcej, niż trzysta mil angielskich, czyli około dwudziestu dni drogi, postanowiłem więc dążyć do nich choćby ostatnim wysiłkiem.

Jechaliśmy teraz nocami, bo w południowych godzinach upał osłabiał niezmiernie zwierzęta, a między wozami zawsze było trochę cienia, w którym mogły w dzień odpocząć. Jednej takiej nocy, którą — nie mogąc się już utrzymać ze zmęczenia i rany na koniu — spędzałem na wozie przy Lilian, usłyszałem nagle dziwne świstanie i zgrzyt kół trących o jakiś szczególniejszy grunt, a jednocześnie okrzyki: "Stop! stop!" rozległy się na całej długości taboru. Zeskoczyłem natychmiast z wozu i przy blasku księżyca ujrzałem woźniców schylonych ku ziemi i wpatrujących się w nią pilnie, a jednocześnie doszedł mnie głos: "Ho, kapitanie, jedziemy po węglu!" Schyliwszy się, pomacałem grunt — Istotnie byliśmy na spalonym stepie.

Zatrzymałem tabór natychmiast i staliśmy resztę nocy na miejscu. Nazajutrz skoro słońce wzeszło, dziwny widok uderzył nasze oczy. Jak okiem sięgnąć, ciągnęła się płaszczyzna czarna, jak węgiel;

nietylko wszystkie krzewy i trawy były na niej spalone, ale ziemia zeszklona tak, że nogi naszych mułów i koła wozu odbijały się w niej, jak w przeźroczu. Nie mogliśmy dobrze dostrzedz, jak szeroko przeszedł pożar, bo widnokrąg zamglony był jeszcze srzeżogą; kazałem jednak bez wahania nawracać ku południowi, by dotrzeć do krańca szlaku, zamiast hazardować się na zgliszcza. Wiedziałem z doświadczenia, co to jest podróż spalonym stepem, gdzie niema jednego źdźbła trawy dla zwierząt; ponieważ zaś ogień szedł widocznie z wiatrem w kierunku północnym, spodziewałem się, idąc ku południowi, dosięgnąć początku pożogi. Ludzie wypełnili wprawdzie mój rozkaz, ale dość niechętnie, bo pociągał on za sobą Bóg wie jak długą zwłokę w podróży. W czasie południowego odpoczynku srzeżoga rzedniała coraz bardziej, a upał za to stawał się tak straszny, że aż powietrze drżało z gorąca i nagle stało się coś takiego, co za cud można było uważać.

Oto niespodzianie owe mgły i dymy rozsunęły się, jakby na skinienie i przed oczyma naszemi ukazały się Sierra Nevada, zielone i uśmiechnięte, cudne, pokryte błyszczącymi śniegami na szczytach i tak bliskie, że gołem okiem mogliśmy odróżnić szczerby w górach, zielone stoki i lasy. Zdawało nam się, że ich powiew świeży, pełen żywicznego zapachu jodeł, dolatuje nas przez zgliszcza, i że za kilka godzin dosięgniemy ich stóp kwiecistych. Na ten widok ludzie wyniszczeni tą straszną pustynią i trudami, poczęli prawie od zmysłów odchodzić z radości: jedni padali na ziemię ze szlochaniem, drudzy wyciągali ręce ku niebu, lub wybuchali śmiechem, inni pobledli, nie mogąc ani słowa przemówić. Oboje z Lilian płakaliśmy także z radości, która mieszała się we mnie ze zdumieniem, bom sądził, że najmniej sto

pięćdziesiąt mil dzieli nas jeszcze od Kalifornii. A tymczasem góry śmiały się do nas przez zgliszcza i zdawały się, jakby przez czarodziejstwo jakie, przybliżać i pochylać ku nam, i zapraszać i nęcić. Choć godziny wyznaczone na spoczynek nie minęły, ludzie ani chcieli słyszeć o dłuższem pozostawaniu na miejscu; chorzy nawet wytykając swe wyżółkłe ręce z pod dachów płóciennych, prosili, by zaprzęgać natychmiast i jechać. Raźno i ochoczo ruszyliśmy naprzód, a do zgrzytu kół po zwęglonej ziemi łączyły się klaskania z biczów, śpiewy i okrzyki. O objeżdżaniu spalonego szlaku nie było już mowy.

Pocóż to i objeżdżać, skoro o kilkanaście mil dalej była już Kalifornia i jej cudne góry Śniczyste! Szliśmy więc na przełaj. Tymczasem srzeżoga znowu z dziwną nagłością przesłoniła nam nasz widok promienny. Upływały godziny, widnokrąg stawał się coraz krótszy; wreszcie słońce zaszło, zrobiła się noc, gwiazdy zamigotały niewyraźnie na niebie, a my ciągle jechaliśmy naprzód. Góry jednak były widocznie dalej, niż się zdawały.

O północy muły poczęły kwiczeć i opierać się, w godzinę zaś później tabór stanął, bo większa część zwierząt pokładła się na ziemię. Ludzie próbowali je podnosić, ale nie było sposobu. Całą noc nikt oka nie zmrużył. Przy pierwszych promieniach świtu wzrok nasz poleciał chciwie w dal i... nie znalazł nic. Czarna, żałobna pustosz ciągnęła się, jak okiem sięgnąć, jednostajna, głucha i odrzynająca się surową linią od widnokręgu: gór wczorajszych nie było śladu.

Ludzie osłupieli, mnie zaś złowróżbny wyraz: "fata morgana" objaśnił wszystko, ale zarazem przejął dreszczem do szpiku kości. Co było robić? iść dalej? A jeśli ta spalona płaszczyzna ciągnie się jeszcze przez setki mil? Wracać? a nuż tam za kilka mil koniec pożarnego szlaku? zresztą, czy muły zdołają jeszcze zrobić tę samą drogę napowrót? Nie śmiałem prawie sięgnąć okiem do dna tej przepaści, nad której brzegiem staliśmy wszyscy. Chciałem jednak wiedzieć, czego się trzymać. Siadłszy więc na koń, ruszyłem naprzód i z pobliskiego wzgórza objąłem wzrokiem szerszy widnokrąg.

Z pomocą lunety dojrzałem w dali pasmo zielone, gdy jednak po godzinie drogi dotarłem na miejsce, okazało się, że była to kałuża, przy której brzegach ogień nie zdołał strawić zupełnie zielska, spalona płaszczyzna szła dalej niż wzrok i szkła. Nie było rady! Należało cofnąć tabór i objechać pożogę. Tym celem zwróciłem konia. Spodziewałem się zastać wozy na tem samem miejscu, gdziem je zostawił, albowiem dałem rozkaz, by na mnie czekano.

Tymczasem nie usłuchano już rozkazu. Ludzie podnosili muły i tabór szedł dalej. Na pytanie moje odpowiedziano mi ponuro:

— Tam są góry i tam pójdziemy!

Nie próbowałem się nawet szamotać, bom widział, że nie ma siły ludzkiej, któraby powstrzymała tych ludzi. Byłbym może sam wrócił z Lilian, ale nie było już mego wozu, a Lilian jechała z ciotką Atkins.

Szliśmy więc naprzód. Nadeszła znowu noc, a z nią przymusowy odpoczynek. Nad zwęglonym stepem wzeszedł wielki czerwony księżyc i rozświecił dal, zawsze równie czarną. Nazajutrz rano połowa tylko wozów mogła wyruszyć, bo od reszty pozdychały muły. Upał był w dzień straszny. Promienie, wchłaniane przez węgiel, przesycały ogniem powietrze. W drodze jeden z naszych chorych umarł w

strasznych konwulsyach — i nikt nie zajął się jego pogrzebem. Położyliśmy go na stepie i pojechali dalej. Woda w wielkiej kałuży, przy której byłem wczoraj, orzeźwiła na chwilę ludzi i zwierzęta, ale nie mogła im wrócić sił. Muły od trzydziestu sześciu godzin nie uszczknęły już ani źdźbła trawy i żyły słomą wyciąganą z wozów, ale i tej już brakło. Jakoż dalszą drogę znaczyliśmy ich trupami, a trzeciego dnia pozostał tylko jeden, którego wydarłem przemocą dla Lilian. Wozy, a w nich narzędzia, które nam miały dać chleb w Kalifornii, zostały na tej potępionej przez wszystkie wieki pustoszy. Wszyscy z wyjątkiem Lilian szli już piechotą. Wkrótce nowy wróg zajrzał nam w oczy: głód. Część żywności pozostała w wozach, to zaś, co każdy mógł udźwignąć, zostało zjedzone. Tymczasem koło nas nie było żadnej żywej istoty. Ja sam tylko w całym taborze miałem jeszcze suchary i szmat solonego mięsa, ale chowałem je dla Lilian i gotów byłem rozerwać w szczątki każdego, ktoby się o tę strawę był u mnie upominał. Sam także nie jadłem. A ta straszna płaszczyzna ciągnęła się bez końca!

Jakby na powiększenie naszych mąk, w południowe godziny fata morgana grała znów na stepach, ukazując nam góry, lasy, jeziora. Ale noce były jeszcze straszniejsze. Wszystkie promienie, jakie w dzień ukradły słońcu węgle, wychodziły z nich w nocy, paląc nasze nogi i napełniając spiekotą gardła. Takiej to nocy jeden z naszych ludzi dostał pomieszania zmysłów i, siadłszy na ziemi, począł się śmiać spazmatycznie, a straszny śmiech ten, gonił nas długo w ciemnościach. Muł, na którym jechała Lilian, padł. Zgłodniali rozdarli go na kawałki w mgnieniu oka, ale dla dwustu ludzi, cóż to był za posiłek! Upłynął dzień czwarty i piąty. Ludziom z głodu poro-

biły się twarze jakieś ptasie i poczęli spoglądać nienawistnie na siebie. Wiedzieli, że ja mam jeszcze żywność, ale wiedzieli także, że zażądać odemnie jednej kruszyny, to śmierć, więc jeszcze instynkt życia przemagał nad głodem. Karmiłem Lilian tylko nocami, by ich nie wściekać tym widokiem. Ona na wszystkie świętości zaklinała mnie, bym się z nią dzielił, ale zagroziłem jej, że w łeb sobie strzelę, jeśli choć wspomni o tem, więc padła, płacząc. Jednakże umiała jeszcze ukraść w mej baczności okruszyny, które oddawała ciotce Atkins i ciotce Grossvenore. A tymczasem głód żelazną ręką targał i moje wnętrzności. W głowie paliło mnie od rany. Od pięciu dni nie miałem w ustach nic oprócz wody z owej kałuży. Myśl, że niosę chleb i mięso, że mam je przy sobie, że mogę jeść, zmieniała się w męczarnię. Ba tem się przytem, że jako ranny, mogę dostać obłędu i rzucić się na to jadło.

— Panie! — wołałem w duszy — już przecież nie opuścisz mnie do tego stopnia, i nie zezwierzęcisz, abym się miał dotknąć tego, co ją może utrzymać przy życiu!

Ale nie było nade mną wtedy miłosierdzia. Szóstego dnia ujrzałem na twarzy Lilian ogniste plamki; ręce miała rozpalone; idąc, oddychała głośno. Nagle, spojrzawszy na mnie błędnie, jakby się śpiesząc w obawie, że utraci przytomność, rzekła:

— Ralfie, zostaw mnie tu! ratuj się sam: dla mnie już niema ratunku!

Ścisnąwszy zęby, bo mi się chciało wyć i bluźnić, i, nie rzekłszy nic, wziąłem ją na ręce. Ogniste zygzaki zaczęły mi skakać przed oczyma w powietrzu i składać się w słowa: **Who worshipped and served the creature more than the Creator!"** Ale jużem się odprężał, jak łuk, za mocno nagięty, i spoglądając

w niemiłosierne niebo, odpowiedziałem całą duszą zbuntowaną:

— Ja!

Tymczasem niosłem na moją Golgotę ten mój ciężar najdroższy, tę jedyną, świętą, ukochaną moją męczennicę. Nie wiem, skąd mi się brały siły. Stałem się nieczuły na głód, na upał, na zmęczenie; nie widziałem nic przed sobą; ani ludzi ani spalonego stepu, tylko ją. W nocy stało się jeszcze gorzej. Traciła przytomność. Chwilami jęczała cicho:

— Ralfie, wody!

A ja, o boleści! miałem tylko solone mięso i suchary! W najwyższej rozpaczy rozpróřem sobie nożem rękę, aby krwią własną zwilżyć jej usta, ale ona oprzytomniała nagle i krzyknąwszy, wpadła w długie omdlenie, z którego myślałem, że już się nie ocuci. Przyszedłszy do siebie, chciała coś mówić, ale gorączka mąciła jej myśli, więc mruczała tylko po cichu:

— Nie gniewaj się, Ralf! ja jestem twoją żoną.

Niosłem ją dalej, milcząc, bom już i zgłupiał z boleści. Nadszedł dzień siódmy. Sierra Nevada ukazały się wreszcie na widnokręgu, a tymczasem o zachodzie słońca światło mojego życia poczęło gasnąć także. Gdy zaczęła konać, położyłem ją na spalonej ziemi, a sam klęknąłem przy niej. Oczy jej były szeroko otwarte, błyszczące i utkwione we mnie. Na chwilę zajaśniała w nich myśl przytomna. Wyszeptała jeszcze:

— **My dear! my husband!** — potem przebiegł ją dreszcz, strach wymalował się na twarzy — i umarła.

Zerwałem sobie bandaże z głowy, straciłem przytomność i już nie pamiętam, co dalej było. Jak przez sen jakiś przypominam sobie ludzi, którzy otoczyli mnie i odebrali broń, później jakby kopali grób, a jeszcze później pochwycił mnie obłęd i ciemność, a w niej słowa ogniste: **"Who worshipped and served the creature more than the Creator?!"**

Obudziłem się w miesiąc potem już w Kalifornii, u osadnika Moszyńskiego. Przyszedłszy trochę do zdrowia, ruszyłem do Nevady; step tam porósł na nowo wysoką trawą, tak, że grobu jej nie mogłem nawet odszukać, i do tej pory nie wiem, gdzie leży jej zewłok święty. Com uczynił takiego Panu, że odwrócił ode mnie oblicze swoje i zapomniał mnie na tej pustyni, nie wiem także. Gdyby mi choć na grobie jej wolno było czasem popłakać, ot, lżejsze byłoby życie. Co rok jeżdżę do Nevady i co rok szukam napróżno. Dziś upłynęły już od tych chwil strasznych lata całe. Nędzne wargi moje wymówiły już nieraz: "Bądź wola Twoja!" Ale źle mi bez niej na świecie. Człowiek żyje i chodzi między ludźmi i śmieje się czasem, a stare, samotne serce płacze tam i kocha i tęskni i pamięta...

Stary jestem i niezadługo w inną, wieczystą podróż mi się wybierać, o to więc tylko Boga jeszcze proszę, abym na onych stepach niebieskich odnalazł moją niebieską — i nie rozłączał się z nią już nigdy...

ORSO

Ostatnie dni jesieni są dla Anaheim, miasteczka położonego w południowej Kalifornii, dniami zabaw i uroczystości. Kończy się naówczas winobranie całe, więc miasto roi się tłumami ludności robotniczej. Nic bardziej malowniczego nad widok, jaki przedstawia ta ludność, złożona w mniejszej części z Meksykanów, głównie zaś z Indyan Cahuila, którzy dla zarobku przybywają aż z dzikich gór San Bernardino, leżących w głębi kraju. Jak jedni, tak i drudzy roztasowują się na ulicach i placach do sprzedania, czyli tak zwanych lotach, na których sypiają pod namiotami, albo wprost pod gołem niebem, wiecznie o tej porze roku pogodnem. Śliczne to miasto, otoczone kępami eukaliptów, rycinusów i drzew pieprzowych, wre jakby jarmarkiem gwarnym i hałaśliwym, a stanowiącym dziwne przeciwieństwo z głęboką i poważną ciszą pustyni, porosłej kaktusami, która zaczyna się zaraz za polami winogradu. Wieczorem gdy słońce kryje promienny swój krąg w toniach oceanu, a na różowem niebie widać również różowo oświecone klucze dzikich gęsi, kaczek, pelikanów, mew i żórawi, ciągnących tysiącami z gór ku oceanowi, w mieście zapalają się ogniska i rozpoczyna się zabawa. Minstrelowie murzyńscy klekocą w kastaniety, przy każdem ognisku słychać odgłosy bębnów i mrukliwe tony bandżu; Meksykanie tańczą na rozciągniętych ponszach ulubione swe bollero;

Indyanie wtóruje im, trzymając w zębach długie białe laski **kiotte**, lub rzucają okrzyki: **e viva!**; ogniska sycone czerwonem drzewem huczą i strzelają iskra-mi, a przy krwawych ich blaskach widać skaczące postacie, dokoła zaś — miejscowych osadników pod rękę z pięknemi żonami i córkami, przypatrujących się zabawie.

Dzień jednak, w którym ostatnie grono zostaje wytłoczone indyjskiemi nogami, jest jeszcze uroczystszy, zjeżdża albowiem wówczas z Los Angeles wędrowny cyrk pana Hirscha, Niemca, a zarazem właściciela menażeryi, złożonej z małp, kuguarów, lwów afrykańskich, jednego słonia i kilkunastu zdziecinniałych ze starości papug: "**the greatest Attraction of the World!**" Jakoż Cahuilowie oddają ostatnie "pezos", których nie zdołali przepić, aby tylko widzieć nietyle dzikie zwierzęta, bo tych w San Bernardino nie brak, ile artystki, atletów, klownów, i wszystkie cuda cyrkowe, które wydają im się conajmniej "wielką medycyną", to jest czarodziejstwem możebnem do spełnienia tylko z pomocą sił nadprzyrodzonych.

Ściągnąłby jednak na siebie słuszny, a Bóg widzi niebezpieczny gniew pana Hirscha, ktoby myślał że cyrk jego jest przynętą tylko dla Indyan, Chińczyków lub Murzynów. Przeciwnie: przybycie cyrku pociąga za sobą zjazd nietylko okolicznych osadników, ale nawet mieszkańców sąsiednich mniejszych miast: Westminster, Orange i Los Nietos. Ulica "Pomarańcz" bywa wówczas tak zapchana wozami i powozikami najrozmaitszych kształtów, że niepodobna się przecisnąć. Cały wielki świat "setlerski" staje jak jeden mąż. Młode, zgrabniutkie miss, z jasnemi grzywkami na oczach, powożąc z kozłów, rozjeżdżają z wdziękiem ludzi po ulicach, szczebiocą i szczerzą ząbki; hiszpańskie senioritas z Los Nietos rzucają długie, powłóczyste spojrzenia z pod tiulowych zasłon, zamężne damy z okolicy, ubrane według ostatniej mody, z dumą wspierają się na ramionach ogorzałych farmerów, którym za cały strój służą obdarte kapelusze, rypsowe pantalony i flanelowe koszule, zaściągnięte w braku krawatów na hetkę i pentelkę.

Wszystko to wita się nawołuje, ogląda bacznem okiem stroje, o ile są "very fashionable", i obgaduje potrochu.

Wśród powozików, zasypanych kwiatami i wyglądających jak wielkie bukiety, harcują na mustangach młodzi mężczyźni, i przechylając się z wysokich kulbak meksykańskich, zaglądają ukradkiem pod kapelusze dziewicze. Pół dzikie konie, przerażone hukiem i gwarem, toczą krwawemi oczyma, — wspinają się i kwiczą, ale dzielni jeźdźcy nie zdają się nawet zwracać na to uwagi.

Wszyscy rozmawiają o "the greatest attraction", czyli o szczegółach przedstawienia wieczornego, — które świetnością ma przejść wszystko, co dotąd widziano. Istotnie, olbrzymie afisze donoszą o cudach prawdziwych. Sam dyrektor Hirsch, "artysta na bacie", ma dać koncert z najsroższym ze znanych dotąd lwem afrykańskim. Lew rzuca się wedle programu na dyrektora, któremu za całą obronę służy tylko bat. Ale zwykle to narzędzie zmieni się w cudownych rękach (zawsze według programu) na ognisty miecz i tarczę. Koniec owego bata ma kąsać jak grzechotnik, migotać jak błyskawica, strzelać jak piorun i trzymać w ciągłem oddaleniu potwór, który napróżno miota się i chce rzucić na artystę. Nic na tem jednak koniec: szesnastoletni Orso, "Herkules amerykański", zrodzo-

ny z ojca białego, a matki Indyanki, ma dźwigać na sobie sześciu ludzi, po trzech na każdem ramieniu: prócz tego, dyrekcya ofiaruje sto dolarów każdemu człowiekowi, "bez względu na kolor skóry", któryby małoletniego atletę zmógł w ręcznej walce. Głuche wieści chodzą po Anaheimie, że z gór San-Bernardino przybył umyślnie w celu próbowania się z Orsem Gryzli-Killer (zabijacz niedźwiedzi), sławny z nieustraszoności i siły wnicznik, który, jak Kalifornia Kalifornią, pierwszy z ludzi ośmielił się uderzać na szarego niedźwiedzia z toporem i nożem.

Prawdopodobne zwycięstwo "zabijacza niedźwiedzi" nad szesnastoletnim atletą cyrkowym — podnieca do najwyższego stopnia umysły wszystkich męskich mieszkańców Anaheimu; jeśli bowiem Orso, który dotychczas wszędzie między Atlantykiem a Pacyfikiem rzucał na ziemię najsilniejszych — "yankee", będzie teraz zwyciężony, nieśmiertelna chwała okryje całą Kalifornię.

Umysły kobiece niemniej podnieca znowu następny numer programu: oto, tenże sam potężny Orso będzie nosił na trzydziesto-stopowym maszcie małą Jenny, "cud świata", o której afisz mówi, że jest najpiękniejszą dziewczyną, jaka żyła na ziemi "za ery chrześcijańskiej". Dyrektor, mimo, iż Jenny liczy dopiero lat trzynaście, ofiaruje również sto dolarów każdej dziewicy, "bez względu na kolor skóry", któraby ośmieliła się stanąć w zawód pod względem piękności z "aniołem powietrznym". — Miss, miski i miseczki z Anaheimu i okolic krzywią się w pogardliwy sposób, czytając ten punkt programu, i utrzymują, że nie byłoby to "lady like" stawać do takiego współzawodnictwa. Swoją drogą, każda z nich wolałaby oddać nawet swoje krze-

sło na biegunach, niż nie być na wieczornem przedstawieniu i nie zobaczyć tej dziecinnej rywalki, w której piękność zresztą, w porównaniu naprzykład z siostrami Bimpa, żadna nie wierzy. Dwie siostry Bimpa, starsza Refugio i młodsza Mercedes, siedząc niedbale w ślicznem "buggy", czytają właśnie afisz. Na cudnych twarzach ich nie znać najmniejszego wzruszenia, choć czują, że oczy Anaheimu zwracają się na nie w tej chwili: jakby z prośbą, by ratowały honor całego hrabstwa, i zarazem z patryotyczną dumą, ugruntowaną na przekonaniu, że nad te dwa kwiaty kalifornijskie niemasz piękniejszych we wszystkich górach i kanionach świata tego. Och! bo też śliczne są siostry Refugio i Mercedes! W żyłach ich nie napróżno płynie czysta krew kastylska, o czem matka ich mówi co chwila, wyrażając za jedną drogą wysoką swą pogardę tak dla wszelkiego rodzaju kolorowych, jak i dla ludzi, posiadających jasne włosy, to jest dla "yankee".

Ciała dwóch sióstr są wysmukłe, lekkie, a pełne w ruchach jakichś tajemnic, niby ociężałe, a takie rozkoszne, że gdy kto z młodzieży zbliża się do nich, serce mu miota się w piersi od niewyznanej i nieświadomej siebie żądzy. Od donny Refugio i Mercedy bije czar, jak woń bije od magonii i kielichowców. Twarze ich delikatne, płeć przeźroczysta, — choć zarumieniona lekką różowością, jakby odblaskiem jutrzenki; oczy powłóczyste i czarne, słodkie, a w spojrzeniu niewinne i tkliwe. Obwinięte w skręty muślinowych "rebozos", w buggy zarzuconem kwiatami, siedzą oto przeczyste, spokojne i tak piękne, że same nawet zdają się nie wiedzieć o swej piękności. Anaheim patrzy na nie, pożera je oczyma, szczyci się niemi i kocha się w nich. Jakaż więc musi być ta Jenny, jeśli i tu chce odnieść zwy-

cięstwo? "Saturday Weekly Review" pisał wprawdzie, że gdy mała Jenny wedrze się na szczyt masztu, wspartego na potężnem ramieniu Orsa, gdy na szczycie drąga zawieszona nad ziemią, narażona na śmierć, pocznie rozkładać rączki i migotać jak motyl, w cyrku robi się cicho, i nietylko oczy, ale i serca śledzą ze drżeniem każdy ruch cudnego dziecka. "Kto ją raz widział na maszcie, lub na koniu — kończy "Saturday Review" — ten jej nie zapomni nigdy, bo największy malarz na ziemi, nawet mister Harvey z San-Francisco, który malował Palace Hotel, nie umiałby wymalować nic podobnego".

Sceptyczna lub zakochana w pannach Bimpa młodzież anaheimska utrzymuje, że jest w tem "humbug", niemniej jednak rozstrzygnie się to ostatecznie dopiero wieczorem.

Tymczasem ruch koło cyrku powiększa się z każdą chwilą. Z pośrodka długich szop drewnianych, otaczających płócienny cyrk, dochodzi ryk lwów i słonia; papugi, poprzyczepiane do kół, zawieszonych przy szopach, wrzeszczą w niebogłosy, małpy huśtają się na własnych ogonach, lub przedrzeźniają się publiczności, trzymanej w oddaleniu sznurami rozciągniętymi wkoło budynków. Nareszcie z głównej szopy wyjeżdża procesya, której celem zaciekawić do tego stopnia publiczność, żeby aż skamieniała. Czoło procesyi stanowi ogromny wóz, zaprzągnięty w sześć koni z piórami na głowach. Woźnice w kostiumach pocztylionów francuskich powożą z siodła. Na wozach stoją klatki ze lwami, wkażdej zaś klatce siedzi lady z różdżką oliwną. Za wozem postępuje słoń pokryty kobiercem, z wieżą na grzbiecie i łucznikami w wieży. — Trąby grają, bębny biją, lwy ryczą, bicze klaskają, słowem, cała karawana jak gomon posuwa się na-

przód z hałasem i wrzawą; niedosyć na tem: za słoniem toczy się maszyna z kominem jak u lokomotywy, podobna do organów, na której para gra a raczej kwiczy i wyświstuje najpiekielniej narodowe "Yankee Doodle". Chwilami para dłużej zatrzymuje się w dudzie, a wtedy z dudy wychodzi zwyczajny świst, co jednak nie zmniejsza entuzyazmu tłumów, które, słuchając tej pieśni kwicząco-parowej, nie posiadają się z radości. Amerykanie krzyczą: hurra! Niemcy: hoch! Meksykanie: viva! Kahuilowie zaś wyją z zadowolenia, jak dzikie zwierzęta, które pokąsał giez.

Tłumy ciągną za wozami, miejsce naokół cyrku wyludnia się, papugi przestają wrzeszczeć, małpy przewracać koziołki: "The greatest attraction" nie bierze jednak udziału w procesyi. Na wozach niema ani "niezrównanego na bacie" dyrektora, — ani niezwyciężonego "Orsa", ani "anioła powietrznego Jenny". To wszystko chowa się dopiero na wieczór, aby tem większe wywołać wrażenie. Dyrektor siedzi gdzieś w szopie, lub zagląda do kas, w których jego murzyni wyszczerzają białe zęby do publiczności — zagląda i złości się quand meme; Orso zaś i Jenny mają właśnie próbę w cyrku. Pod płóciennym jego dachem panuje jednak cisza i mrok. Głąb, w której piętrzą się coraz wyżej ławki, prawie zupełnie jest ciemna, największa natomiast ilość światła wpada przez płócienny dach na wysypaną piaskiem i otrębami arenę. Przy owych szarych, przecedzonych przez płótno blaskach, widać stojącego przy parapecie konia, wedle którego niema nikogo. Grubo-płaski koń nudzi się widocznie, opędza się ogonem od much i kiwa, o ile może, łbem, przywiązanym na białym lejcu i podgiętym ku piersiom. Powoli oko odkrywa i inne przedmioty, jak

oto: leżący na piasku drąg, na którym Orso nosi zwykle Jenny, i kilka obręczy, zaklejonych bibułą, przez które Jenny ma skakać — ale wszystko to leży niedbale porzucone, cała zaś pół oświecona arena i mroczny zupełnie cyrk robią wrażenie pustkowia z pozabijanemi oddawna oknami. Szeregi spiętrzonych ławek, w niektórych tylko miejscach obrzucone blaskiem, wyglądają jak rumowiska; stojące ze spuszczonym łbem koń nie ożywia obrazu.

Gdzież są Orso i Jenny? Jedno z pasm wkradającego się przez szpary światła, w którem kręci się i wiruje kurz, pada jako złota plama na zagłębienie dalszych ławek. Plama ta posuwa się zgodnie z ruchem słońca na dworze, a w końcu oświetla grupę, złożoną z Orsa i Jenny.

Orso siedzi na wierzchu ławki, przy nim zaś Jenny. Jej śliczna dziecinna twarzyczka przytulona jest do ramienia atlety, a ręka otacza jego kark i zwiesza się na drugiem ramieniu. Oczy dziewczynki wzniesione są do góry, jakby słuchała uważnie słów towarzysza, który, pochylony nad nią, porusza niekiedy głową, niby tłómacząc coś i przekładając. Tak przytulonych do siebie możnaby wziąć za parę zakochaną, gdyby nie to, że odziane w bladoróżowe trykoty nóżki Jenny, nie dostając do ziemi, kiwają się w tył i naprzód ruchem zupełnie dziecinnym, który nazywa się także robieniem garnków, a jej wzniesione oczy wyrażają raczej za słuchanie się i mocne natężenie myśli, niż inne jakie romantyczne uczucie. Przytem kształty jej przybierają dopiero pierwsze zarysy kształtów kobiecych. Wogóle Jenny jest jeszcze dzieckiem, ale tak uroczem, że nie ubliżając panu Harvey z San-Francisco, który malował Palace Hotel, trudnoby mu było wymarzyć coś podobnego. Jej drobna twa-

rzyczka jest poprostu anielska; ogromne, smutne, niebieskie oczy mają wyraz głęboki, słodki, ufny; ciemne brwi rysują się z nieporównaną czystością na czole białem i jakby zamyślonem, na które płowa, jedwabista, trochę bezładna czupryna rzuca cień, jakiegoby się nietylko mistrz Harvey, ale i pewien inny malarz, nazwiskiem Rembrandt, nie powstydził. Dziewczynka przypomina zarazem kopciuszka i Gretchen, a przytuloną postawą, jaką przybrała, zdradza usposobienie bojaźliwe i potrzebujące opieki.

Od tej postaci w rodzaju Greuza dziwnie odbija strój cyrkowy, złożony z krótkiej gazowej spódniczki, naszywanej srebrnemi blaszkami, tak krótkiej, że nie okrywa jej kolan, i z różowych trykotów. — Siedząc w paśmie złotego światła, na tle głębokiem i ciemnem, wygląda jak jakie zjawisko słoneczne i przeźroczyste, a przytem kształty jej wysmukłe tworzą proste przeciwieństwo z kwadratową postacią chłopaka.

Orso, ubrany w cielisty trykot, wydaje się z daleka nagim, a tenże sam promień oświeca jego rozrosłe nieproporcyonalne bary, zbyt wypukłą pierś, zapadły brzuch i za krótkie w stosunku do długiego tułowiu nogi. Potężne jego formy zdają się być tylko z gruba wyciosane toporem. Ma on wszystkie cechy cyrkowego atlety, ale podniesione do takiej potęgi, że czynią z niego prawie karykaturę. Przytem jest brzydki. Chwilami, gdy podnosi głowę, widać twarz jego, której rysy wprawdzie są regularne, może nawet bardzo regularne, ale jakieś zastygłe i także jakby wyrąbane siekierą. Nizkie czoło i spadające aż na nos czarne włosy, podobne do włosienia końskiego, a oddziedziczone zapewne po matce skwawic, nadają jego licom wyraz ponury

i groźny. Jest on zarazem podobny do byka i niedźwiedzia, a wogóle uosabia straszliwą siłę, ale złą. Jakoż wcale nie jest dobry.

Gdy Jenny przechodzi koło klatek końskich, — poczciwe te stworzenia zwracają głowy i patrzą na nią rozumnemi oczyma, rżą zcicha, jakby chciały powiedzieć: "How do you do, darling?" — na widok zaś Orsa aż przysiadają ze strachu. Jest to chłopak zamknięty w sobie, mrukliwy i posępny. Murzyni pana Hirscha, pełniący obowiązki masztalerzy, klownów, minstrelów i linoskoków, nie cierpią go i dokuczają mu jak tylko mogą, ponieważ zaś jest metysem, nic sobie z niego nie robią i głośno wypowiadają mu swą pogardę. Dyrektor, który, prawdę rzekłszy, niewiele ryzykuje, stawiając sto dolarów za nim naprzeciw każdemu, ktoby się chciał z nim próbować, nienawidzi go i boi się zarazem, ale w taki sposób, w jaki pogromca zwierząt boi się naprzykład lwa, to jest ćwiczy go z lada powodu.

Dzieje się to jeszcze i dlatego, iż pan Hirsch sądzi, że gdyby on nie bił chłopaka, byłby przez niego bity, ale wogóle trzyma się zasady owej kreolki, która bicie uważała za karę, a niebicie za nagrodę.

Taki to jest Orso. Od niejakiego czasu stał się on jednak lepszym, albowiem zaczął bardzo kochać małą Jenny. Zdarzyło się przed rokiem, że gdy raz Orso, który był zarazem dozorcą zwierząt, czyścił klatkę kuguara, zwierz, wysunąwszy łapę przez pręty, skaleczył go dość mocno w głowę. Wówczas atleta wszedł do klatki, i ze strasznej walki, jaka wywiązała się między nim a zwierzęciem, wyszedł sam tylko żywy. Był jednak tak silnie pokaleczony, że zemdlał, a potem chorował długo, tembardziej, że dyrektor oćwiczył go jeszcze za połamaną kuguarowi kość pacierzową. W czasie choroby —

mała Jenny okazywała mu wiele litości, opatrywała w braku kogo innego jego rany, a w chwilach wolnych przesiadując przy nim, czytała mu Biblię, to jest "dobrą książkę", która mówiła o kochaniu się, o przebaczeniu, o miłosierdziu, słowem, o rzeczach. o których nigdy nie było mowy w cyrku pana Hirscha. Orso, słuchając tej książki, pracował długo swoją indyjską głową, a w końcu doszedł do tego przekonania, że gdyby tak było w cyrku, jak w tej książce, to i on nie byłby taki zły. Myślał także, że wówczas nie bywałby bity, a może nawet znalazłby się ktoś taki, ktoby go kochał Ale kto? Nie murzyni i nie pan Hirsh, więc chyba mała Jenny, — której głos tak mu słodko brzmiał w uszach, jak głos maukawisa.

Wskutek tej myśli, pewnego wieczoru rozpłakał się ogromnie, zaczął całować małe ręce Jenny i od tej pory pokochał ją bardzo. Odtąd, gdy w czasie wieczornych przedstawień dziewczynka jeździła na koniu, on był zawsze na arenie i wodził za nią troskliwemi oczyma. Podstawiając jej obręcze, pozaklejane bibułą, uśmiechał się do niej, a gdy przy towarzyszeniu nuty: "Ach, śmierć blizka!" nosił ją ku wielkiemu przerażeniu widzów na szczycie drąga, to i sam był przerażony. Wiedział dobrze wówczas, że gdyby ona spadła, to jużby nie było nikogo w cyrku z "dobrej książki", nie spuszczał też z niej oczu, a ta jego ostrożność i jakby trwożliwość ruchów dodawała grozy widowisku. — Potem, gdy wywołani burzą oklasków, wbiegali razem na arenę, wysuwał ją zawsze naprzód, aby na nią największe brawa spadły, i mruczał z radości. Z nią też jedną umiał rozmawiać ten mruk i przed nią tylko otwierał się. Nienawidził on cyrku i pana Hirscha, który był zupełnie inny, niż ludzie "do-

brej książki". Coś ciągnęło go zawsze na kranice widnokręgu, na bory i stepy. Gdy wędrownej trupie w ciągłych włóczęgach zdarzyło się przebywać okolice niezaludnione, odzywały się w nim takie instynkta, jakie odzywają się w chowanym wilku, — który pierwszy raz bór zobaczy. Skłonność tę może nietylko po matce oddziedziczył, bo i ojciec jego biały był zapewne jakim wnicznikiem, błądzącym po stepach. Z tych swoich pragnień zwierzał się małej Jenny, a zarazem opowiadał jej, jak się to żyje na pustyni. Po większej części to odgadywał, a trochę wiedział o tem od stepowych strzelców, — którzy niekiedy przychodzili do cyrku, już to dostarczając dzikich zwierząt panu Hirschowi, już aby się pokusić o owe sto dolarów, które dyrektor za zwalczenie Orsa wyznaczył.

Mała Jenny słuchała zwykle tych odgadywań i indyjskich widzeń, otwierając szeroko swe niebieskie oczy, lub zamyślając się. O, bo Orso sam nigdy nie wybierał się na pustynię. Ona była zawsze z nim, i tak im było dobrze, że aż strach. Codzień widzieli coś nowego, mieli całe swoje gospodarstwo, wypadało więc nad wszystkiem się zastanowić.

Siedzą więc teraz oboje w paśmie światła i rozmawiają, zamiast robić próbę nowych skoków. Koń stoi na arenie i nudzi się. Mała Jenny, przytulona do ramienia Orsa, utkwiła zamyślone oczy w przestrzeń i nóżkami kiwa zawzięcie i rozważa w swojej małej główce, jak to będzie na pustyni, a czasem rzuca pytania, żeby się jeszcze lepiej dowiedzieć, jak to będzie.

— A gdzie tam mieszkać? — pyta, podnosząc oczy na towarzysza.

— Tam jest pełno dębów. Bierze się siekierę i buduje się dom.

— Well, — mówi Jenny a nim dom stanie?

— Tam zawsze ciepło. Gryzli Killer mówił, że tam bardzo ciepło.

Jenny poczyna kiwać jeszcze mocniej nóżkami na znak, że jeśli tam ciepło, to jej o nic więcej nie chodzi; ale po chwili zastanawia się znowu. Ma ona w cyrku ulubionego psa, który nazywa się pan pies, i kota zwanego pan kot, chciałaby więc i względem nich coś postanowić.

— A pan pies i pan kot pójdą z nami?

— Pójdą — odpowiada Orso i mruczy z radości.

— Weźmiemy z sobą i "dobrą książkę?"

— Weźmiemy! — mówi Orso i mruczy jeszcze głośniej.

— Well — szczebioce dziewczynka. — Pan kot będzie nam łapał ptaszki, a pan pies będzie szczekał, jeśli zechce do nas przyjść kto brzydki; a ty będziesz mężem, ja twoją żoną, a one będą nasze dzieci.

Orso taki już uszczęśliwiony, że nie może nawet mruczeć, więc Jenny prawi dalej:

— I pana Hirscha nie będzie, i cyrku nie będzie, i nie będziemy nic nigdy robić, i tyle!... Ale nie! — dodaje po chwili: — "dobra książka" mówi, że trzeba pracować, więc czasem przeskoczę sobie przez jaką obręcz, przez dwie obręcze, przez trzy obręcze, przez cztery obręcze!

Jenny nie wyobraża sobie widocznie pracy pod inną postacią, niż skakanie przez obręcze.

Po chwili pyta znowu:

— Orso, i ja naprawdę będę zawsze z tobą?

— Tak jest, Dży: ja ciebie bardzo kocham.

Twarz jego rozjaśnia się, gdy to mówi, i staje się prawie ładna.

A jednak on sam nie wie, jak kocha tę małą jasnowłosą główkę.

Oto: jak brytan swoją panią. Zresztą na całym świecie ją tylko jedną. Swoją drogą wygląda przy niej jak smok, ale co mu to szkodzi? Nic a nic.

— Dży, — mówi po chwili — posłuchaj, co ci powiem.

Jenny, która przed chwilą podniosła się, chcąc spojrzeć na konia, przyklęka teraz przed Orsem, i aby nic nie stracić z jego słów, opiera łokcie na jego kolanach, następnie położywszy brodę na obie dłonie, poczyna słuchać z zadartą główką.

W tej chwili jednak, na nieszczęście dzieci, wchodzi do cyrku artysta na bacie, a wchodzi w jak najgorszym humorze, albowiem próba ze lwem zupełnie się nie udała.

Wyłysiały ze starości zwierz, który radby, żeby mu już raz dali święty pokój, żadną miarą nie chciał rzucać się na artystę — pod razami bata chował się tylko w głąb klatki. Dyrektor myślał z rozpaczą, że jeśli to lojalne usposobienie nie opuści lwa do wieczora, to koncert na bacie może się nie udać, bo bić lwa, który się odwraca, nie jest większą sztuką, niż zacząć jeść raka od ogona.

Humor dyrektora jeszcze się pogorszył, gdy murzyn, sprzedający bilety na paradyz, doniósł mu, że Kahuilowie widocznie już przepili pieniądze wzięte za winobranie, albowiem zgłasza się ich wprawdzie do kasy wielu, ale zamiast pieniędzy, ofiarowują za bilety swoje derki, znaczone U. S., albo też żony, zwłaszcza stare. Brak pieniędzy u Kahuilów był niemałą stratą dla artysty na bacie. Liczył on bowiem na "crowded house", a bez paradyzu nie może być "crowded house", dlatego dyrektor życzył sobie w tej chwili, aby wszyscy Indyanie mieli

tylko jeden grzbiet, i aby on mógł dać koncert na tym grzbiecie wobec całego Anaheimu. W tem usposobieniu wchodzi do cyrku, a widząc konia, nic robiącego nic i stojącego ze znudzoną miną pod parapetem, ma ochotę przewrócić kozła z gniewu. Gdzież mogą być Orso i Jenny? Zakrywszy ręką czoło, aby mu oczu nie zaślepiało światło, wdzierające się przez płótno, dyrektor wpatruje się w głąb i dostrzega w świetlanem pasemku Orsa i Jenny, klęczącą przed nim, z łokciami wspartymi na jego kolanach. Ujrzawszy takie widowisko, puszcza koniec bata na ziemię.

— Orso!

Piorun, któryby uderzył w grupę dwojga dzieci, nie mógłby wywołać większego w nich przerażenia. Orso zrywa się na równe nogi i poczyna zstępować wycięciem między ławkami na dół, tym pośpiesznym ruchem zwierzęcia, idącego do nogi na głos pana; za nim postępuje mała Jenny z oczyma szeroko otwartemi z przerażenia, chwytając się po drodze ławek.

Orso, wylazłszy na arenę, zatrzymuje się przy parapecie, chmurny i milczący. Szare światło, padające z góry, oświeca teraz wyraźnie jego herkulesowy tułów. osadzony na krótkich nogach.

— Bliżej! — woła ochrypłym głosem dyrektor, gdy tymczasem koniec jego rozpuszczonego bata porusza się po piasku złowrogim ruchem, jakim porusza się ogon tygrysa, czyhającego z zasadzki.

Orso postępuje kilka kroków, i przez jakiś czas obaj patrzą sobie w oczy. Dyrektor ma zupełnie minę pogromcy, który, wszedłszy do klatki, ma zamiar ćwiczyć niebezpieczne zwierzę, ale zarazem śledzi je.

Wściekłość bierze w nim jednak górę nad ostrożnością. Jego cienkie nogi, ubrane w łosiowe

spodnie i wysokie masztalerskie buty, podskakują pod nim z gniewu. Może zresztą nie samo tylko próżnowanie dzieci wzbudza w nim gniew. W górze między ławkami Jenny patrzy na obydwóch, jakby patrzała sarna na dwa rysie.

— Hoodlumie!... łapaczu psów, psie nieznany! — szepcze dyrektor.

Bat z szybkością błyskawicy opisał krąg, zaświstał, zasyczał i uderzył. Orso zaskowyczał z cicha i rzucił się krok naprzód, ale drugie uderzenie wstrzymało go od razu, poczem trzecie, czwarte, dziesiąte. Koncert rozpoczął się, choć widzów jeszcze nie było. Wzniesiona ręka wielkiego artysty nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko kręciła się, jakby część jakiej maszyny, osadzona na śrubie, a każdy jej skręt odzywał się klaśnięciem na skórze Orsa. Zdawało się, że bat, a raczej jadowity jego koniec, wypełnił całą przestrzeń między atletą a dyrektorem, który, podbudzając się sam stopniowo, wpadł w prawdziwe uniesienie artystyczne. Mistrz improwizował poprostu. Trzaskawka, migocąc w powietrzu, dwa razy już wypisała krwawe ślady na szyi atlety, które wieczorem miał pokryć puder.

Orso zamilkł w tańcu. Za każdem jednak uderzeniem posuwał się krok naprzód — dyrektor krok w tył. W ten sposób obeszli całą arenę. I znowu dyrektor wycofywał się z areny, zupełnie jak pogromca z klatki, a wreszcie znikł u wyjścia do stajen... zupełnie jak pogromca.

Na odchodnem jednak wzrok jego padł na Jenny.

— Na koń! — wykrzyknął. — Rachunek na później.

Głos jeszcze nie przebrzmiał, gdy biała spódniczka mignęła w powietrzu, i Jenny w mgnieniu oka

skoczyła, jak małpa, na grzbiet koński. Dyrektor zniknął za zasłoną, koń zaś począł galopować wkoło, dudniąc niekiedy kopytami w parapet.

— "Hep! hep!" — pokrzykiwała cienkim głosikiem Jenny: "hep! hep!" — ale owo "hep! hep!" było zarazem łkaniem. Koń biegł coraz prędzej i dudnił kopytami, pochylając się coraz gwałtowniej. Dziewczynka, stojąc na siodle z nóżkami przyciśniętemi jedna do drugiej, zdawała się go ledwie końcami palców dotykać; różowe nagie jej rączki chwytały nagłymi ruchami równowagę; rzucone w tył pędem powietrza włosy i cyrkowa z gazy spódniczka goniły za jej lekką postacią, podobną do ptaka, krążącego w powietrzu.

— "Hep! hep!" — pokrzykiwała jeszcze. Tymczasem łzy zalewały jej oczy, tak, że musiała głowę zadzierać, żeby coś widzieć; bieg konia odurzył ją: spiętrzone szeregi ławek i ściany i arena poczęły wirować naokół niej. Zachwiała się raz, drugi i wreszcie spadła w ramiona Orsa.

— O, Orso! biedny Orso! — wołało, szlochając, dziecko.

— Co ci jest, Dży? — szeptał chłopiec. — Czego płaczesz? Nie płacz, Dży! Mnie nie bardzo boli, wcale nie bardzo.

Jenny rzuciła mu obie ręce na szyję i poczęła całować jego policzki. Całe jej ciało trzęsło się od uniesienia, a płacz przechodził prawie w spazmy.

— Orso, o, Orso! — powtarzała, nie mogąc więcej przemówić, i ręce jej zaciskały się gwałtownie koło jego szyi. Gdyby sama została wybita, nie mogłaby płakać więcej; jakoż w końcu on zaczął ją utulać i pocieszać... Zapomniawszy o bólu, chwycił ją na ręce i przyciskał z kolei do serca, a rozkołysane biciem jego nerwy sprawiły, że pierwszy raz u-

czuł, iż kocha ją nietylko tak, jak brytan swą panią. Oddychał szybko, a wargi jego poczęły szeptać przerywanem tchnieniem:

— Nic mnie już nie boli... Gdy ty jesteś przy mnie, bardzo mi jest dobrze... Jenny! Jenny!

Tymczasem dyrektor chodził po stajniach i pienił się ze złości. W sercu jego nurtowała zazdrość. Widział on dziewczynę na kolanach przed Orsem, a od pewnego już czasu cudne dziecko poczęło w nim wzbudzać jakby brzask nizkich uczuć, niedość jeszcze rozwiniętych. Ale posądził już ją i Orsa o romans, więc pragnął się zemścić. Znalazłby dziką rozkosz, gdyby ją wybił, bardzo mocno wybił, i tej chęci nie mógł się oprzeć. Po chwili zawołał na nią.

Wyrwała się natychmiast z rąk atlety i w mgnieniu oka znikła w ciemnem wejściu do stajen. Orso był jakby odurzony, bo zamiast iść za nią, poszedł chwiejnym krokiem do ławki, i siadłszy na niej, począł ciężko robić piersiami.

Tymczasem dziewczynka, wbiegłszy do stajni, nie spostrzegła zrazu nikogo, albowiem ciemniej tam było jeszcze, niż na arenie. Bojąc się jednak, aby nie posądzono jej, iż nie spełniła natychmiast rozkazu, wołała cichym i przestraszonym głosem:

— Już jestem tu, panie, już jestem!

W tej samej chwili ręka dyrektora chwyciła za małą jej rączkę, a chrapliwy głos wyrzekł:

— Come!

Gdyby był gniewał się na nią, lub krzyczał, mniejby ją to przerażało, niż owo milczenie, w jakiem prowadził ją w stronę garderoby cyrkowej. Przechyliła się więc w tył, i opierając się co siły, powtarzała, jak mogła najszybciej:

— Mister Hirsch! mój drogi, mój słodki! nigdy nie będę...

— Ale on prowadził ją przemocą do długiej zamkniętej komory, w której był skład kostyumów, i zamknął drzwi na klucz.

Jenny rzuciła się na kolana. Ze wzniesionemi oczyma ku górze, ze złożonemi rękoma, drżąca jak liść, zalana łzami, próbowała go przebłagać; on zaś, zdjąwszy szpicrutę ze ściany, rzekł w odpowiedzi:

— Połóż się!...

Uczepiła się wówczas rozpaczliwie jego nóg, bo prawie umierała ze strachu. Każdy nerw dygotał w niej jak naciągnięta struna, ale napróżno swoje zbladłe usteczka przyciskała błagalnie do jego wyglansowanych cholew. Przeciwnie: strach jej i prośby zdawały się go jeszcze podniecać. Chwyciwszy ją za opaskę spódniczki, rzucił na stos sukien leżących na stole, potem przez chwilę jeszcze tłumił gwałtowne poruszenia jej nóg, i wreszcie uderzył.

— Orso! Orso! — zawołała dziewczynka.

W tej samej chwili drzwi zatrzęsły się w zawiasach, zatrzeszczały od góry do dołu, i cała ich połowa, wybita olbrzymią siłą, zwaliła się z łoskotem na ziemię.

W wyłomie stanął Orso.

Szpicruta wypadła z ręki dyrektora, a twarz pokryła się mu trupią bladością, bo też Orso wyglądał strasznie. Zamiast oczu, widać mu było tylko białka, szerokie wargi jego pokryte były pianą, głowa pochylona jak u byka, a całe ciało zebrane w sobie, niby do skoku.

— Precz! — krzyknął dyrektor, starając się krzykiem pokryć strach.

Ale tama była już zerwana. Orso, tak zwykle posłuszny na każde skinienie jak pies, nie cofnął się tym razem, tylko schyliwszy niżej jeszcze głowę, posuwał się złowrogo ku artyście na bacie, rozcią

gając jakby przemocą swoje żelazne muskuły.

— Help! Help! — zawrzeszczał artysta.

Dosłyszano go.

Czterech ogromnych murzynów wbiegło co sił ze stajen przez wyłamane drzwi i rzuciło się na Orsa. Zaczęła się straszna walka, której dyrektor przypatrywał się, szczękając zębami. Przez długi czas widać było tylko kupę poplątanych ciemnych ciał, pasujących się w konwulsyjnych skrętach, ruchliwą, kłębiącą się, zwichrzoną; w ciszy, jaka zapadła, rozległ się czasem jęk, czasem chrapnięcie lub świst nozdrzy. Ale po chwili jeden z murzynów, wyrzucony jakby nadludzką siłą z owej bezkształtnej masy, zakołysał się w powietrzu i padł obok dyrektora, uderzywszy z głuchym łoskotem czaszką o podłogę; wkrótce wyleciał drugi, a wreszcie ponad kłębem walczących podniósł się tylko Orso, straszniejszy niż przedtem, pokrwawiony i z włosem zjeżonym na głowie. Kolana jego gniotły jeszcze dwóch omdlałych negrów. Potem podnisł się i szedł znowu ku dyrektorowi.

Artysta zamknął oczy.

W tejże samej sekundzie uczuł, że nogi jego nie dosięgają już ziemi, potem uczuł, że leci w powietrzu, a jeszcze potem nic nie uczuł, bo uderzywszy całem ciałem w pozostałą połowę drzwi, padł bez czucia na ziemię.

Orso obtarł się i zbliżył do Jenny.

— Chodź! — rzekł krótko.

Wziął ją za rękę i wyszli. Całe miasto goniło właśnie za procesyą wozów i za maszyną grającą "Yankee Doodle" — więc koło cyrku było zupełnie pusto. Papugi tylko, kołyszące się w obręczach, napełniały krzykiem powietrze. Dzieci szły ręka w rękę prosto przed siebie; tam, gdzieś na końcu ulicy,

widać było z daleka niezmierzone pole kaktusowe. Milcząc, mijali domy ukryte w cieniu eukaliptów, następnie minęli miejscową bydłobójnię, koło której kręciły się tysiące szpaków czarnych z czerwonemi skrzydłami, przeskoczyli wielki rów irygacyjny, weszli w lasek drzew pomarańczowych i, wydostawszy się z niego, znaleźli się między kaktusami.

To już była pustynia.

Jak okiem sięgnąć, piętrzyły się coraz wyżej kolczaste kępy; powikłane liście, wyrastające z innych liści, zagradzały drogę, chwytając haczykami za sukienkę Jenny. Czasem kaktusy wznosiły się tak wysoko, że dzieci były jakby w lesie jakim, ale też w tym lesie nikt już nie mógł ich znaleźć. Szli więc, skręcając to na prawo, to na lewo, byle dalej. W miejscach, gdzie piramidy kaktusów były mniejsze, widać było na samym krańcu widnokręgu błękitne góry Santa-Ana. Szli ku górom. Upał był wielki. Popielate szarańcze ksykały w kępach; promienie słoneczne zlewały się na ziemię potokami; wysuszona ziemia pstrzyła się siatką zapadlin, sztywne liście kaktusów zdawały się mięknąć od gorąca, a kwiaty były omdlałe i nawpół zwiędłe. Dzieci szły, milcząc i rozmyślając. Ale wszystko, co ich otaczało, było tak nowe, że wkrótce oboje oddali się zupełnie wrażeniom i zapomnieli nawet o zmęczeniu. Jenny biegała oczyma z jednej kępy na drugą, to znów zapuszczała badawczy wzrok w środek kaktusów, pytając od czasu do czasu cicho towarzysza:

Jednak pustynia nie zdawała się być pustą. — Z dalszych kęp dochodziły nawoływania kogutów kuropatwich, a naokoło rozlegały się rozmaite dziwne klaskania, cmokania, mruczenia, słowem: najróżnorodniejsze głosy małych zwierzątek, zamieszkujących kaktusy. Czasem zrywało się całe stado

kuropatw; czubate biegacze uciekały piechotą na długich swych nogach, czarne wiewiórki dawały za zbliżeniem się dzieci nurka pod ziemię, na wszystkie strony pierzchały zające i króliki; susły, siedzące na tylnych łapkach przed jamami, podobne były do tłustych niemieckich fermerów, stojących we drzwiach domów.

Wypocząwszy małą godzinkę, dzieci poszły dalej. Jenny wkrótce zachciało się pić, na co Orso, w którym widocznie budziła się przemyślność indyjska, poradził, nazrywawszy owoców kaktusowych. Było ich mnóstwo i wyrastały z jednych liści wraz z kwiatami. Wprawdzie obierając je, pokłóli się oboje o delikatne jak włosy kolce, ale za to owoce smakowały im wyśmienicie. Słodkawy i kwaśny smak ich ugasił i pragnienie i głód zarazem. Pustynia nakarmiła dzieci jak matka; posiliwszy się, mogli iść dalej. Kaktusy piętrzyły się coraz wyżej, można rzec, że wyrastały jeden drugiemu na głowie. Grunt, po którym szli, podnosił się zwolna, ale ciągle. Raz jeszcze ze wzgórza obejrzawszy się, ujrzeli Anaheim napoły rozpłynięte w oddali, podobne do wielkiej kępy drzew, rosnących na nizkim stepie. Cyrku już nie było widać ani śladu. Szli jednak bardzo wytrwale całemi godzinami ku górom, które rysowały się coraz wyraźniej. Okolica zaczęła przybierać inną postać. Między kaktusami zjawiały się już różne krzaki, a nawet i drzewa. — Zaczynała się lesista część podgórzy przy Santa-Ana. Orso złamał jedno z mniejszych drzew i, poobrywawszy gałęzie, uczynił z niego maczugę, która w jego ręku mogła być straszliwą bronią. Instynkt Indyanina szeptał mu, że w górach lepiej jest mieć choć pałkę, niż gołe ręce, tembardziej, że powoli i słońce zaczęło już zniżać się ku zachodowi. Jego

wielka ognista tarcza stoczyła się już nawet daleko za Anaheim i zapadała w ocean. Po chwili znikła, ale na zachodzie świeciły zorze czerwone, złote i pomarańczowe, podobne do długich pasem i taśm, porozciąganych na całem niebie. Góry jeżyły się w tych blaskach, kaktusy przybierały różne fantastyczne kształty, podobne do ludzkich i zwierzęcych. Jenny czuła się zmęczona i śpiąca, ale zdążali oboje co sił do gór, choć sami nie wiedzieli dlaczego. Jakoż wkrótce ujrzeli skały, a doszedłszy do nich, odkryli strumień. Napiwszy się wody, szli dalej wzdłuż łożysk. Tymczasem skały, z początku rozprószone i przerywane, zmieniły się na jednolite mury, potem na ściany coraz wyższe, i tak weszli w kamion, czyli wąwóz.

Zorze gasły; mrok ogarniał ziemię coraz większy. Miejscami, gdzie liany przerzucały się z jednej strony ściany na drugą, tworząc jakoby sklepienia nad strumieniem, było zupełnie ciemno i wcale straszno. Na górze słychać było jakby szum drzew, których z dołu nie mogli dojrzeć. Orso dorozumiewał się, że to już puszcza, w której pełno było zapewne dzikich zwierząt. Od czasu do czasu dochodziły już nawet stamtąd rozmaite podejrzane głosy, a gdy noc zapadła, słychać było wyraźnie chrapliwe beczenie rysiów, ryki kuguarów i płaczliwe głosy kujotów.

— Boisz się, drżysz? — pytał Orso.

— Nie — odpowiedziała dziewczynka.

Ale była już bardzo zmęczona i nie mogła iść dalej, więc Orso wziął ją na ręce i niósł. Sam jednak szedł ciągle naprzód, w nadziei, że trafi na jakiego skwatera, lub na namioty meksykańskie. — Raz lub dwa razy zdawało mu się, że widzi w oddali świecące oczy dzikiego zwierza. Przytulał wtedy

jedną ręką do piersi Jenny, która już spała, drugą ściskał swoją pałkę. Sam był także strudzony bardzo. Mimo olbrzymiej jego siły, Jenny poczynała mu już ciężyć, tembardziej, że niósł ją na lewej ręce; prawą chciał mieć wolną do obrony. Chwilami stawał dla nabrania tchu, potem szedł dalej. Nagle zatrzymał się i nadstawił pilnie uszu. Zdawało mu się, że zdala dochodziły go odgłosy dzwonków, jakie skwaterowie przywiązują na noc krowom i kozom. Ruszywszy śpiesznie naprzód, wkrótce doszedł do skrętu strumienia. Głos dzwonków stawał się coraz wyraźniejszy, a nakoniec dołączyło się do nich szczekanie psa. Orso był już pewny, że bliża się do jakiejś siedziby ludzkiej. Dla niego czas też był wielki: wyczerpał się przez dzień cały, i poczynało mu sił brakować.

Minął jeszcze jeden skręt i ujrzał światło; w miarę jak posuwał się naprzód, jego bystre oczy poczęły odróżniać ognisko, psa, który, widocznie przywiązany do pnia szarpał się i szczekał, a wreszcie siedzącego koło płomienia człowieka.

— Boże daj, aby to był człowiek z "dobrej książki" — pomyślił.

Następnie postanowił obudzić Jenny.

— Dży! — zawołał: — obudź się, będziemy jedli.

— Co to? — pytała dziewczynka. — Gdzie my jesteśmy?

— W pustyni.

Rozbudziła się zupełnie.

— A tam co za światło?

— Tam mieszka jakiś człowiek. — Będziemy jedli.

Biedny Orso był bardzo głodny.

Tymczasem byli już blizko ogniska. Pies szcze-

kał coraz gwałtowniej, a stary człowiek, siedzący przy ogniu, przysłonił oczy i patrzał w ciemność. Po chwili spytał:

— Kto tam?

— To my... — odpowiedziała cienkim głosikiem Jenny — i bardzo nam się jeść chce.

— Zbliżcie się — rzekł stary człowiek.

Wyszedłszy z za wielkiego głazu, za którym byli ukryci, stanęli oboje przed ogniem, trzymając się za ręce. Starzec spojrzał na nich zdumionemi oczyma; z ust jego wyrwał się mimowoli okrzyk:

— "What is that?"

Ujrzał bowiem zjawisko, które w bezludnych górach Santa-Ana mogło każdego zdziwić. Oto i Orso i Jenny mieli na sobie cyrkowe kostiumy. — Śliczna dzieweczka, ubrana w różowe trykoty i krótką spódniczkę, zjawiwszy się nagle, wyglądała w blasku ognia jak jaki sylf fantastyczny. Za nią stał chłopak o niezwykłych kwadratowych kształtach, ubrany także w cielisty trykot, z pod którego przebijały jego muskuły nakształt sęków na dębie.

Stary skwater patrzał na nich szeroko otwartemi oczyma.

— Co wyście za jedni? — spytał.

Mała kobietka, licząc widocznie więcej na swoją niż towarzysza wymowę, poczęła szczebiotać:

— My z cyrku, kochany panie! Pan Hirsch wybił bardzo Orsa, a potem chciał bić mnie, więc Orso mnie nie dał i wybił pana Hirscha i czterech murzynów, i potem uciekliśmy na pustynię, i szliśmy długo przez kaktusy, i Orso mnie niósł, potem przyszliśmy tu, i bardzo nam się jeść chce.

Twarz starego samotnika rozjaśniła się powoli, a oczy jego spoczęły z dobrotliwym ojcowskim wyrazem na uroczem dziecku, które śpieszyło się, —

jakby pragnąc wypowiedzieć wszystko jednym tchem.

— Jak ci na imię, mała? — spytał.

— Jenny.

— Więc wellcome, Jenny! i ty, Orso! Ja rzadko widuję ludzi... Pójdź do mnie, Jenny.

Mała kobietka bez namysłu zarzuciła swoje nagie rączki na szyję starca i ucałowała go serdecznie. Wydawał jej się z "dobrej książki".

— A czy nas pan Hirsch tu nie znajdzie? — pytała, oderwawszy swą różową buzię od zwiędłej twarzy osadnika.

— Kulę znajdzie! — odparł starzec, a po chwili dodał: — Mówicie, że wam się jeść chce?

— O, bardzo!

Skwater pogrzebał chwilę w popiele i wydobył z niego wspaniały udziec jeleni, którego zapach rozszedł się naokoło. Potem siedli do jedzenia.

Noc była pyszna; na niebie wysoko nad wąwóz wytoczył się księżyc, w gęstwinie poczęły śpiewać słodkim głosem mauhawisy, ogień huczał wesoło, a Orso począł mruczeć z radości. Oboje z dziewczynką jedli, jak najęci; stary tylko samotnik jeść nie mógł — i niewiadomo dlaczego, spoglądając na małą Jenny, miał łzy w oczach.

Może dawniej był ojcem, a może w pustych górach ludzi rzadko widywał...

....

I odtąd troje tych ludzi pędziło życie razem.

KOMEDYA Z POMYŁEK

WSTĘP.

Wypadek, który posłużył mi za przedmiot do niniejszego szkicu, podobno zdarzył się istotnie w jednem z amerykańskich miasteczek. Czy zdarzył się on na wschodzie, czy na zachodzie, nie mogłem się dopytać, i naprawdę nic nikomu na tem nie zależy. Być może także, że jaki nowelista amerykański lub niemiecki skorzystał już z niego poprzednio, co według mego zdania, powinno być równie obojętne dla czytelników, jak i kwestya miejscowości.

Korzystając ze swobody autorskiej, przedstawiam rzecz, jakby się działa w Kalifornii; przytem będę się starał podać kilka charakterystycznych rysów z tutejszego małomiejskiego życia.

Zdarzyło się przed pięciu lub sześciu laty, że w hrabstwie Marypoza odkryto w pewnej miejscowości źródła nafty. Ogromne zyski, jakie kopalnie podobne przynoszą w Newadzie i w innych Stanach, skłoniły zaraz kilku przedsiębiorców do zawiązania towarzystwa, z celem wyzyskiwania nowo odkrytych źródeł. Sprowadzono rozmaite machiny, pompy, dźwignie, drabiny, beczki i beczułki, świdry i kotły; pobudowano domy dla robotników, ochrzczono miejscowość **S t r u c k O i l**, i, po niejakim

czasie, w okolicy pustej i bezludnej, którą przed rokiem zamieszkiwały tylko kujoty, stanęła osada, złożona z kilkudziesięciu domów i zamieszkana przez kilkuset robotników.

We dwa lata później, Struck Oil nazywało się już **Struck Oil City**. Jakoż było to już "city" w całem znaczeniu tego wyrazu. Proszę zauważyć, że mieszkał tu już szewc, krawiec, cieśla, kowal, rzeźnik i doktor Francuz, który w swoim czasie, we Francyi, brody golił, ale zresztą człowiek "uczony" i nieszkodliwy, co już w amerykańskim doktorze znaczy bardzo wiele.

Doktor, jak się najczęściej zdarza po małych miasteczkach, trzymał zarazem aptekę i pocztę, miał więc potrójną praktykę. Aptekarzem był równie nieszkodliwym, jak doktorem, albowiem w aptece jego można było dostać tylko dwóch lekarstw: syropu cukrowego i leroa. Cichy ten i łagodny staruszek mawiał zwykle swoim pacyentom:

— Nie obawiajcie się nigdy moich lekarstw. Mam zwyczaj, że gdy choremu daję lekarstwo, sam zawsze zażywam taką samą dozę, bo rozumuję sobie, że jeśli ono mnie zdrowemu nie zaszkodzi, to nie zaszkodzi i choremu. Czy nie prawda?

— Prawda! — odpowiadali zaspokojeni obywatele, którym nie przychodziło jakoś na myśl, że obowiązkiem doktora jest nietylko nie zaszkodzić choremu, ale pomódz.

Pan Dasonville — tak się nazywał doktor — wierzył jednak szczególnie w cudowne skutki leroa. Nieraz na mityngach zdejmował kapelusz z głowy i zwracając się do publiczności, mówił:

— Panowie i panie! przekonajcie się, co to jest leroa! Mam lat siedmdziesiąt; czterdzieści lat, jak

zażywam codzień leroa, i patrzcie: nie mam ani jednego siwego włosa na głowie.

Panie i panowie mogliby znowu zauważyć, że doktor nie miał wprawdzie ani jednego siwego włosa, ale nie miał też żadnego, bo głowa jego była łysa, jak klosz lampy. Ale że uwagi podobne w niczem nie przyczyniłyby się do wzrostu Struck Oil city, nie robiono ich więc wcale.

Tymczasem Struck Oil City rosło i rosło. Po upływie dwóch lat, wprowadzono do niego odnogę kolei żelaznej. Miasto miało już swoich urzędników wybieralnych. Doktor, którego lubiano powszechnie, został, jako przedstawiciel inteligencyi, sędzią; szewc, Żyd polski, mister **Devis** (Dawid) szeryfem, to jest naczelnikiem policyi, która składała się z szeryfa i z nikogo więcej; pobudowano szkołę, której kierunek objęła umyślnie sprowadzona "School Madam", przedwieczna dziewica, mająca wieczną fluksyę; nakoniec stanął pierwszy hotel pod nazwą "United States Hotel".

"Business" ożywił się także niezmiernie. Wywóz nafty przynosił piękne zyski. Zauważono, że mister Devis kazał pobudować przed swoim składem wystawkę szklaną, podobną do tych, jakie zdobią sklepy szewskie w San Francisco. Na następnym mityngu obywatele złożyli publiczne podziękowanie panu Devis za tę "nową ozdobę miasta", na co mister Devis odpowiedział ze skromnością wielkiego obywatela: **Thank you! thank you! Oj wey!**

Gdzie jest sędzia i szeryf, tam bywają sprawy. Wymaga to pisaniny i papieru, zatem na rogu Cajotte street i 1-szej powstało **stationery,** to jest skład papieru, w którym sprzedawano także dzienniki polityczne i karykatury, przedstawiające Granta w postaci chłopca dojącego krowę, ta zaś z kolei

miała przedstawiać Stany Zjednoczone. Obowiązki szeryfa nie nakazywały mu wcale wzbraniać sprzedaży podobnych rycin, bo to do policyi nie należy.

Ale nie koniec na tem. Miasto amerykańskie nie może żyć bez dziennika; po upływie więc roku drugiego, powstało pismo pod tytułem: **Saturday Weekly Review** (Przegląd Sobotni Tygodniowy), liczące tylu prenumeratorów, ilu było mieszkańców w Struck Oil city. Redaktor tego dziennika był zarazem jego wydawcą, drukarzem, administratorem i roznosicielem. Ten ostatni obowiązek przychodził mu tem łatwiej, że, prócz tego, trzymał krowy i każdego rana musiał roznosić mleko po domach. Nie przeszkadzalo mu to zresztą wcale rozpoczynać wstępnych artykułów politycznych od słów: "Gdyby nasz podły prezydent Stanów Zjednoczonych poszedł za radą, której udzieliliśmy mu w zeszłym numerze" i t. d.

Nie brakło więc, jak widzimy, niczego w błogosławionem Struck Oil City. Prócz tego, ponieważ górnicy, trudniący się wydobywaniem nafty, nie odznaczają się ani gwałtownością, ani grubymi obyczajami, cechującymi poszukiwaczów złota, było więc w mieście spokojnie. Nikt z nikim się nie pobił, o **lynchu** ani było słychać; życie płynęło spokojnie jeden dzień był podobny do drugiego, jak dwie krople wody. Rankiem każdy zajmował się **businessem**, wieczorem obywatele palili śmiecie na ulicach i, jeśli nie było mityngu, szli spać, wiedząc, że jutro także będą palili śmiecie wieczorem.

Jedynym kłopotem szeryfa było to, że nie mógł oduczyć obywateli od strzelania z karabinów do dzikich gęsi, przelatujących wieczorami nad miastem. Prawa miejskie zabraniają strzelać na ulicach. "Żeby to była jaka parszywa mieścina, — mawiał szeryf — no, to nie mówię, ale w takiem mieście pif! paf! pif! paf! to jest bardzo niepięknie".

Obywatele słuchali, kiwali głowami, odpowiadali: "O yes!" —ale gdy wieczorem na zarumienionem niebie zjawiły się białe i szare sznury, ciągnące z gór nad ocean, każdy zapominał o przyrzeczeniu, porywał karabin i strzelanina rozpoczynała się na dobre.

Pan Devis mógł wprawdzie zaprowadzić każdego winnego do sędziego, a sędzia mógł go ukarać pieniężnie, ale nie trzeba było zapominać, że winni byli zarazem w razie choroby pacyentami doktora, a w razie podarcia trzewików gośćmi szeryfa; że zaś ręka rękę myje, więc ręka ręce nie robi krzywdy.

Było więc spokojnie w Struck Oil city, — jak w niebie; nagle jednak skończyły się te piękne dni.

Grocernik zapłonął śmiertelną nienawiścią do grocerniczki, a grocerniczka do grocernika.

Tu potrzeba może objaśnić, co w Ameryce nazywa się "grocery". Grocery tedy, czyli grocernia, jest to sklep sprzedający wszystko. Można tam dostać mąki, kapeluszy, cygar, mioteł, guzików, ryżu, sardynek, koszul, słoniny, nasion, bluz, spodni szkieł do lamp, siekier, sucharków, talerzy, papierowych kołnierzyków, suszonych ryb, słowem wszystkiego, czego człowiek może zapotrzebować. Z początku była tylko jedna grocernia w Struck Oil city. Trzymał ją Niemiec, imieniem Hans Kasche. Był to sobie flegmatyczny Niemiec, rodem z Prus; miał lat trzydzieści pięć i wyłupiaste oczy; nie był otyły, ale dość zażywny; chodził zawsze bez surduta i fajki nigdy nie wypuszczoł z zębów. Po angielsku umiał tyle, ile potrzeba było do "businessu", zresztą ani w ząb. Handel jednak prowadził dobrze,

tak, że po roku mówiono już w Struck Oil city, że "był wart" kilka tysięcy dolarów.

Nagle jednak zjawiła się druga grocernia.

I, dziwna rzecz! Pierwszą trzymał Niemiec drugą założyła Niemka. "Kunegunde und Eduard, Eduard und Kunegunde!" Zaraz tedy zapoczęła się między obiema stronami wojna, a rozpoczęła się od tego, że panna Neuman, czyli, jak się sama nazywała "Niumen", dała na powitalny "lunch" placki pieczone, z mąki pomieszanej z sodą i ałunem. — Byłaby tem zaszkodziła najwięcej samej sobie w opinii obywateli, gdyby nie to, iż sama utrzymywała i stawiała świadków, że ponieważ jej mąka nie była jeszcze rozpakowana, więc tę kupiła od Hansa Kasche. Wyszło więc na to, że Hans Kasche jest zazdrośnik i nikczemnik, który zaraz z początku chciał zgubić swoją rywalkę w opinii publicznej. Zresztą było do przewidzenia, że dwie grocernie będą rywalizowały z sobą, ale nikt nie przewidywał, że rywalizacya przejdzie w straszną nienawiść osobistą. — Nienawiść ta posunęła się wkrótce do tego stopnia, że Hans palił śmiecie tylko wtedy, gdy wiatr wwiewał dym do sklepu jego przeciwniczki; przeciwniczka zaś nie nazywała inaczej Hansa, tylko "Doczmen" (Niemiec), co tenże poczytywał sobie za największą obelgę. Z początku mieszkańcy śmieli się z obojga, tembardziej, że żadne nie umiało po angielsku; powoli jednak, skutkiem codziennych stosunków z grocerniami, wytworzyły się w mieście dwie partye, Hansistów i Neumanistów, które poczęły patrzeć na siebie krzywem okiem, co mogło zaszkodzić szczęściu i spokojności rzeczypospolitej Struck Oil city i sprowadzić groźne na przyszłość zawikłania. Głęboki polityk, mr. Devis, pragnął leczyć złe u źródła, więc starał się pogodzić Niemkę

z Niemcem. Bywało nieraz, stanie na środku ulicy i mówi do nich rodowitym językiem:

— No! co się będziecie kłócić? Czy to nie u jednego szewca kupujecie trzewiki? Mam teraz takie, że w całem San Francisco niema lepszych.

— Próżno chwalić trzewiki przed tym, który niezadługo będzie bez butów chodził! — przerywała kwaśno panna Neuman

— Ja nie robię sobie kredytu nogami — odpowiadał flegmatycznie Hans.

A trzeba było wiedzieć, że panna Neuman, — chociaż Niemka, miała istotnie piękne nogi; więc takie przycinki napełniały jej serce śmiertelnym gniewem.

W mieście dwie partye poczęły już i na mityngach poruszać sprawę Hansa i panny Neuman; ponieważ jednak w Ameryce nikt w sprawie z kobietą nie znajdzie sprawiedliwości, większość więc przechyliła się na stronę panny Neuman.

Wkrótce Hans obejrzał się, że jego grecernia zaledwie mu się opłaca.

Ale i panna Neuman nie robiła zbyt świetnych interesów, bo znowu wszystkie kobiety z miasta trzymały stronę Hansa; zauważyły bowiem, że ich mężowie zbyt często robią sprawunki u pięknej Niemki i za każdym sprawunkiem siedzą za długo.

Gdy nikogo nie było w żadnym ze sklepów, — Hans i panna Neuman stawali we drzwiach, jedno naprzeciw drugiego, rzucając sobie wzajem spojrzenia pełne zajadłości. Panna Neuman śpiewała wówczas sobie na nutę "Mein liber Augustin":

— "Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men!"

Pan Hans patrzył na jej nogi, potem na figurę, potem na twarz z takim wyrazem, z jakimby pa-

trzył np. na zabitego przed miesiącem kujota; potem, wybuchnąwszy piekielnym śmiechem, wykrzykiwał:

— By God!

Nienawiść w tym flegmatycznym człowieku doszła do tego stopnia, że gdy rano ukazał się przed drzwiami, a panny Neumann nie było, kręcił się, jakby mu czego brakło.

Dawno już przyszłoby między nimi do pewnych zajść czynnych, gdyby nie to, iż Hans był pewny przegranej w każdej urzędowej sprawie, a to tembardziej, iż panna Neumann miała za sobą redaktora **Saturday Weekly Review**. Hans przekonał się o tem, gdy rozpuścił wieść, że panna Neumann nosi biust sztuczny. Było to nawet prawdopodobne, bo w Ameryce zwyczaj to powszechny. Na następny tydzień jednak w **Saturday Weekly Review** zjawił się piorunujący artykuł, w którym redaktor, mówiąc ogólnie o potwarzach "Doczmenów", kończył zapewnieniem uroczystem, jako "dobrze poinformowany", że biust pewnej spotwarzonej lady jest prawdziwy.

Odtąd pan Hans pijał co rano czarną kawę zamiast białej, nie chciał bowiem brać już mleka od redaktora, ale za to panna Neumann brała stale dwie porcye. Prócz tego kazała sobie uszyć krawcowej suknię, której forma stanika przekonała ostatecznie wszystkich, że Hans był potwarcą.

Hans, wobec chytrości niewieściej, uczuł się bezbronnym; a tymczasem Niemka, stając przed sklepem każdego ranka, śpiewywała coraz głośniej:

— **Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men.**

— Co ja jej mogę zrobić? — myślał Hans. — Mam zatrutą pszenicę na szczury, choćbym też jej

kury wytruł? Nie! Każą mi zapłacić! Ale wiem co zrobię.

I wieczorem panna Neumann, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, spostrzegła pana Hansa, znoszącego pęki dzikich słoneczników i układającego je, jakoby w ścieżkę, pod zakratowanem okienkiem piwnicy. "Ciekawam, co to będzie — myślała sobie: — pewno coś przeciw mnie!" — A tymczasem ściemniło się. Pan Hans ułożył słoneczniki we dwie linie, tak, że środkiem tylko zostawała wolna droga do okienka piwnicy; potem wyniósł jakiś przedmiot okryty płótnem, obrócił się plecami do panny Neuman, płótno z tajemniczego przedmiotu zdjął, pokrył go liśćmi ze słoneczników, następnie zbliżył się do muru i począł kreślić na nim jakieś litery.

Panna Neuman umierała z ciekawości.

— Pewno na mnie coś pisze — myślała; — ale niech tylko wszyscy spać pójdą, pójdę zobaczyć, choćbym miała skonać.

Hans, skończywszy robotę, poszedł na górę i wkrótce zagasił światło. Wówczas panna Neuman zarzuciła naprędce na siebie szlafroczek, wdziała pantofle na gołe nogi i dalejże przez ulicę. Doszedłszy do słoneczników, szła prosto ścieżką do okienka, chcąc przeczytać napis na ścianie. Nagle oczy jej wyszły na wierzch, rzuciła się wierzchnią połową ciała wstecz, a z ust wyrwało jej się bolesne: "Aj! aj!" — potem zaś rozpaczliwy okrzyk: "Ratunku! ratunku!"

Okno na górze podniosło się do góry.

— **Was ist das?** — rozległ się spokojnie głos Hansa. — **Was ist das?**

— Doczmenie przeklęty! — wrzeszczała panna — zamordowałeś mnie, zgubiłeś! Jutro będziesz wisiał. Ratunku! ratunku!

— Zaraz schodzę — rzekł Hans.

Jakoż po chwili ukazał się ze świecą w ręku. Spojrzał na pannę Neumann, która stała jak przygwożdżona do ziemi, poczem wziął się pod boki i począł się śmiać:

— Co to? To panna Neuman? Ha! ha! ha! Dobry wieczór pannie! Ha! ha! ha! Zastawiłem żelaza na Skunksy, a złapałem pannę! Pocoś panna przyszła zaglądać do mojej piwnicy? Umyślnie napisałem na ścianie ostrzeżenie, żeby się nie zbliżać. Krzycz teraz panna; niech się ludzie zlecą; niech wszyscy widzą, że nocami przychodzisz zaglądać do piwnicy Doczmena. **O mein Gott!** krzycz, ale postój sobie aż do rana. Dobranoc pannie, dobranoc!

Położenie panny Neumann było okropne. Krzyczeć? ludzie się zlecą: kompromitacya! Nie krzyczeć? stać całą noc złapana w żelaza, a na drugi dzień dać z siebie widowisko?... A tu noga boli coraz bardziej... W głowie jej się zakręciło, gwiazdy pomieszały się ze sobą, księżyc ze złowrogą twarzą pana Hansa... Zemdlała.

— **Herr je!** — wykrzyknął do siebie Hans: — jeśli umrze, to jutro zlynczują mnie bez sądu.

I włosy powstały mu na głowie ze strachu.

Nie było rady. Hans poszukał czemprędzej klucza, aby otworzyć żelazo, ale nie łatwo było otworzyć, bo przeszkadzał mu szlafrok panny Neuman. Trzeba było go trochę zwinąć, i... mimo całej nienawiści i strachu, Hans nie mógł się wstrzymać od rzucenia oczyma na piękne, jak gdyby marmurowe, nóżki swej nieprzyjaciółki, oświetlone blaskiem czerwonego miesiąca.

Mógłby ktoś powiedzieć, że w nienawiści jego była teraz litość: Otworzył prędko żelaza, a że panna nie poruszała się jeszcze, więc wziął ją na ręce i

zaniósł prędko do jej mieszkania. Po drodze znów czuł litość. Potem wrócił do siebie i całą noc nie mógł oka zmrużyć.

Nazajutrz panna Neuman nie zjawiła się przed swoją grocernią w celu śpiewania: **Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen**... Może się wstydziła, a może knuła w milczeniu zemstę.

Pokazało się, że knuła zemstę. Wieczorem tegoż jeszcze dnia, redaktor **S. W. Review**, wyzwał Hansa na kułaki i, zaraz na początku walki, podbił mu oko. Hans jednak, przywiedziony do rozpaczy, zadał mu tyle straszliwych ciosów, że po krótkim daremnym oporze, redaktor padł jak długi, wołając: **Enough! enough!** dosyć! dosyć!)

Niewiadomo jakim sposobem, bo nie przez Hansa, całe miasto dowiedziało się o wypadku nocnym panny Neuman. Po walce z redaktorem, w sercu Hansa znowu zniknęła litość dla nieprzyjaciółki, pozostała tylko nienawiść.

Hans przeczuwał, że go spotka jakiś niespodziewany cios z nienawistnej ręki, jakoż niedługo nań czekał. Właściciele grocerni przylepiają często przed sklepami ogłoszenia o rozmaitych towarach, zatytułowane zwykle "**Notice**". Z drugiej strony trzeba wiedzieć, że grocernie sprzedają zwykle szynkom lód, bez którego żaden Amerykanin nie pije ani whisky, ani piwa. Otóż nagle Hans zauważył, że przestano brać u niego lód zupełnie. Ogromne kawały, które sprowadził koleją, złożone w piwnicy, stopniały; szkody było na kilkanaście dolarów. Dlaczego? jak? co? Hans widział, że nawet jego stronnicy brali codziennie lód u panny Neuman; nie rozumiał więc, co się to znaczy, tem mniej, że się z żadnym szynkarzem nie pogniewał.

Postanowił tę rzecz wyjaśnić.

— Dlaczego nie bierzecie ode mnie lodu? — spytał łamaną angielszczyzną szynkarza Petersa, który właśnie przechodził koło jego sklepu.

— Bo go nie trzymacie.

—Jakto, nie trzymam?

— No, bo ja wiem!

— **Aber** ja trzymam lód.

— A to co? — rzekł szynkarz, wskazując palcem ogłoszenie, przylepione na domu.

Hans spojrzał i zzieleniał ze złości. W jego ogłoszeniu ktoś w wyrazie "**Notice**" wydrapał **t** ze środka, skutkiem czego z "**Notice**" zrobiło się "**No ice**", co po angielsku znaczy: niema lodu.

— **Donnerwetter!** — wykrzyknął Hans i cały siny i drżący wpadł do sklepu panny Neuman.

— To jest nikczemność! — krzyczał zapieniony. — Czemuś mi panna wydrapała literę ze środka?

— Com panu wydrapała ze środka? — spytała z głupia-frant panna Neuman.

— Literę mówię: **t**, mówię! Wydrapałaś mi panna **t**! **Aber goddam!** to nie może być dłużej. Panna mi musisz zapłacić za lód!**Goddam! goddam!**

I straciwszy zwykłą zimną krew, począł wrzeszczeć jak opętany, na to panna Neuman w krzyk. Ludzi się nazlatywało.

— Ratujcie! — wołała panna Neuman. — Doczmen zwaryował! Mówi, żem mu coś wydrapała ze środka, a ja mu nic nie wydrapałam. Com mu miała wydrapać? nic nie wydrapałam! O! na Boga! wydrapałabym mu oczy, gdybym mogła, ale nic więcej. Ja biedna kobieta, sama... On mnie tu zabije, zamorduje!

Tak krzycząc, zalała się rzewnemi łzami. Amerykanie nie zrozumieli wprawdzie o co chodzi, ale Amerykanie nie znoszą łez kobiecych, więc Niemca

za łeb i za drzwi. Chciał się opierać: gdzie tam! wyleciał jak z procy, przeleciał przez ulicę, wleciał we własne drzwi i upadł jak długi.

W tydzień potem, nad sklepem jego wisiał ogromny malowniczy szyld. Szyld wyobrażał małpę, ubraną w pasistą sukienkę, biały fartuszek z naramiennikami: słowem, zupełnie jak panna Neuman. Pod spodem stał napis wielkiemi żółtemi literami:

"Grosernia pod małpą".

Ludzi naschodziło się oglądać. Śmiechy wywabiły pannę Neuman przede drzwi. Wyszła, spojrzała, zbladła, ale nie straciwszy przytomności, zawołała zaraz:

—— Grocernia pod małpą? Nic dziwnego, bo pan Kasche mieszka nad grocernią. Ha!

Cios jednak trafił ją w serce. W południe słyszała, jak tłumy dzieci, przechodząc koło sklepów ze szkoły, zatrzymywały się przed szyldem, wołając:

— "O! that's miss Neuman! Good evening, miss Neuman!

Tego było zanadto. Wieczorem, gdy przyszedł do niej redaktor, rzekła mu:

— Ta małpa to ja! wiem, że ja, ale nie daruję swego. Musi on zdjąć i zlizać tę małpę własnym językiem przy mnie.

— Co panna chcesz robić?

— Idę zaraz do sędziego.

— Jakto zaraz?

— **Jutro.**

Rankiem wyszła i, zbliżywszy się do Hansa, — rzekła:

— Słuchaj, panie Doczmenie! wiem, że ta małpa to ja, ale pójdź-no ze mną do sędziego. Zobaczymy, co on na to powie.

— Powie, że wolno mi malować nad moim sklepem, co mi się podoba.

—Zobaczymy zaraz.

Panna Neuman ledwo mogła oddychać.

— A skąd panna wie, że ta małpa to panna?

— Sumienie mi to mówi. Pójdź, pójdź do sędziego, a nie, to cię szeryf w kajdanach zaprowadzi.

— Dobrze, pójdę — rzekł Hans, pewny wygranej.

Poprzymykali sklepy i poszli, wymyślając sobie po drodze. Dopiero przy samych drzwiach sędziego Dasonvillla przypomnieli sobie, że oboje nie umieją dość po angielsku, aby sprawę wytłómaczyć. Co tu robić? Ot szeryf, jako Żyd polski, umie i po niemiecku i po angielsku. Dalejże do szeryfa.

Ale szeryf siedział właśnie na wozie i zabierał się do wyjazdu.

— Idźcie do "devil!" — krzyknął prędko. — Całe miasto przez was niespokojne! Chodzicie w jednych trzewikach po całych latach! Ja jadę po "lumber" "Good bye!"

I pojechał.

Hans wziął się pod boki.

— Musisz panna czekać do jutra — rzekł flegmatycznie.

— Ja mam czekać? Pierwej umrę. Chyba, że zdejmiesz pan małpę.

— Nie zdejmę małpy.

— To będziesz pan wisiał! Będziesz wisiał, Doczmenie! Obejdzie się i bez szeryfa. Sędzia i tak wie, o co nam chodzi.

— A to pójdźmy i bez szeryfa — rzekł Niemiec.

Panna Neuman myliła się jednak. Jeden tylko sędzia w całem mieście nie wiedział ani słowa o ich kłótniach. Bogu ducha winien, staruszek przyrządzał swoje leroa, i zdawało mu się, że świat zbawia.

Przyjął ich, jak zwykle przyjmował każdego, z dobrocią i grzecznie:

Pokażcie języki, moje dzieci!... — rzekł. — Zapiszę wam tu zaraz...

Oboje zaczęli machać rękoma na znak, że nie chcą lekarstw. Panna Neuman powtarzała:

— Nie tego potrzeba, nie tego!

— Więc czego?

Gadali jedno przez drugie. Co Hans słowo, to panna dziesięć. Nareszcie Niemka wpadła na koncept pokazać na serce, na znak, że je pan Hans przebił siedmiu mieczami.

— Rozumiem! rozumiem teraz! — rzekł doktor.

Poczem otworzył książkę i jął pisać. Spytał Hansa: ile ma lat? — Trzydzieści sześć. Spytał panny — nie pamiętała dokładnie: tak coś koło dwudziestu pięciu. "All right!" Jakie są ich imiona? Hans — Lora. "All right!" Czem się trudnią? — mają grocernie. "All right!" Potem jeszcze jakieś pytania. Nie zrozumieli oboje, ale odpowiadali "yes". Doktor kiwnął głową. Wszystko skończone.

Skończywszy pisać, wstał i nagle, ku wielkiemu zdziwieniu Lory, objął ją wpół i pocałował.

Wzięła to sobie za dobrą wróżbę i pełna różowych nadziei, poszła do domu.

Po drodze powiada do Hansa:

— Ja panu pokażę!

— Pokażesz panna komu innemu! — odparł spokojnie Niemiec.

Nazajutrz rano przyszedł szeryf przed sklepy. Oboje stali przede drzwiami. Hans pykał fajkę, — panna śpiewała:

— "Doczmen, Doczmen, Do — Doczmen, Do — Doczmen — men.

Chcecie iść do sędziego? — spytał szeryf.

— Jużeśmy byli.

— No i co?

— Mój szeryfku! mój panie Dewisku! — zawołała panna: — pójdźcie się dowiedzieć. Potrzebuję właśnie trzewików. A przemówcie tam za mną słówko do sędziego. Widzicie, ja biedna dziewczyna... sama...

Szeryf poszedł i w kwadrans wrócił. Ale niewiadomo dlaczego wrócił otoczony tłumem ludzi..

— No co? no jak? — poczęli wypytywać oboje.

—Wsistko dobrze, oh — rzekł szeryf.

— No, co sędzia zrobił?...

— Ny, co miał złego zrobić? On was pożenił.

— Pożenił?!!!

— Albo to się ludzie nie żenią?

Żeby piorun nagle trzasł, Hans i panna Neuman nie przeraziliby się do tego stopnia. Hans wytrzeszczył oczy, otworzył usta, wywiesił język i spoglądał jak głupi na pannę Neuman, a panna Neuman wytrzeszczyła oczy, otworzyła usta, wywiesiła język i spoglądała jak głupia na pana Hansa. Osłupieli, skamienieli. Potem oboje w krzyk:

— Ja mam być jego żoną!?

— Ja mam być jej mężem!?

— Gwałtu! gwałtu! Nigdy! Zaraz do rozwodu! Ja nie chcę!

— Pierwej umrzeć! gwałtu! Rozwód, rozwód, do rozwodu! Co to się dzieje!

— Moi kochani, — rzekł spokojnie szeryf — co tu pomoże krzyk?... Sędzia daje ślub, ale sędzia nie daje rozwodu. Na co krzyczeć? Czy to wy milionerzy z San Francisco, żebyście brali rozwód? Czy wy nie wiecie co to kosztuje? Aj! Co tu krzyczeć? Mam piękne trzewiki dziecinne, tanio sprzedaję! Good bye!

To rzekłszy, odszedł. Ludzie, śmiejąc się, porozchodzili się także; nowożeńcy pozostali sami.

— To ten Francuz — wykrzyknęła panna mężatka — naumyślnie nam to zrobił, bośmy Niemcy!

— "Richtig" — odpowiedział Hans.

— Ale pójdziemy do rozwodu!

— Ja pierwszy pannaś mi wydrapała "t" ze środka!

— Nie! ja pierwsza paneś mnie w żelaza złapał.

— Ja panny nie chcę.

— Ja pana nie cierpię.

Porozchodzili się i pozamykali sklepy. Ona siedziała u siebie, rozmyślając cały dzień, on u siebie. Przyszła noc. Noc przynosi spokój. Oboje jednak nie mogli myśleć o śnie. Położyli się, ale oczy im się nie kleiły. On myślał: "Tam śpi moja żona". Ona: "Tam śpi mój mąż!" — I dziwne jakieś uczucia rodziły im się w sercach. Była to nienawiść, gniew w połączeniu z poczuciem samotności. Prócz tego pan Hans myślał o swojej małpie nad sklepem. Jak ją tu trzymać, kiedy to teraz karykatura jego żony? I wydało mu się, że zrobił bardzo brzydką rzecz, kazawszy wymalować tę małpę. Ale znowu ta panna Neuman! Przecie on jej nienawidzi. To przez nią lód jego stopniał. On ją przecie złapał po księżycu w żelaza. Tu znowu na myśl przyszły mu owe kształty, widziane przy blasku księżyca. "No, co prawda, to ona tęga dziew-

czyna (myślał). Ale ona mnie nie cierpi i ja jej. Oto położenie! Ach, "Herr Gott!" Ożenił się? I z kim? z panną Neuman! A tu rozwód tyle kosztuje! cała grocernia nie starczy!

— Ja jestem żoną tego Doczmena — mówiła sobie panna Neuman. — Ja już nie panna... to jest chciałam powiedzieć: panna, ale poszłam za mąż! Za kogo? Za Haschego, który mnie złapał w żelaza. Prawda i to... że wziął mnie wpół i odniósł na górę. A jaki mocny! Ot! tak sobie wziął mnie wpół... Co to jest?... tu jakiś szelest?

Szelestu nie było żadnego, ale panna Neuman poczęła się bać, choć poprzednio nigdy się nie bała.

— Gdyby on jednak ośmielił się teraz... Boże!

Potem jednak dodała głosem, w którym brzmiała dziwna jakaś nuta rozczarowania:

— Ale on się nie ośmieli... On...

Z tem wszystkiem bojaźń jej wzmagała się. — "To tak zawsze kobiecie samej! — myślała dalej, Gdyby tu był jaki mężczyzna, byłoby bezpieczniej. Słyszałam o jakichś zabójstwach w okolicy (o zabójstwach panna Neuman nie słyszała). Przysięgam, że mnie tu kiedy zabiją. Ach, ten Hasche! ten Hasche! zamknął mi drogę. Trzeba jednak naradzić się o rozwodzie".

Tak myśląc, przewracała się bezsennie po szerokim amerykańskim łożu i istotnie czuła się bardzo samotną. Nagle zerwała się znowu. Tym razem przestrach jej miał powód rzeczywisty. W ciszy nocnej słychać było wyraźne stukanie młotka.

— Jezus! — krzyknęła panna: — dobierają się do mojej grocerni!

To rzekłszy, wyskoczyła z łóżka i pobiegła do okna, ale spojrzawszy w nie, uspokoiła się zaraz. — Przy świetle księżyca widać było drabinę, a na niej

okrągłe białe kształty Hansa, odbijającego młotkiem gwoździe, podtrzymujące szyld z małpą.

Panna Neuman otworzyła zcicha okno.

— Jednak zdejmuje małpę: to poczciwie z jego strony! — pomyślała.

I uczuła nagle, jakby jej coś topniało koło serca.

Hans wyciągnął powoli gwoździe. Blacha z brzękiem upadła na ziemię; wówczas zlazł, odbił ramy, zwinął blachę w trąbkę w żylastych rękach i począł odstawiać drabinę.

Panna śledziła go oczyma... Noc była cicha, ciepła...

— Panie Hans... — szepnęła nagle dziewica.

— To panna nie śpi? — odszeptał równie cicho Hans.

— Nie! Dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór pannie.

— Co pan robi?

— Zdejmuję małpę.

—Dziękuję panu, panie Hans.

Chwila milczenia.

— Panie Hans! — zaszemrał znowu głos panieński.

— Co, panno Loro?

— Musimy naradzić się o rozwodzie.

— Tak, panno Loro.

— Jutro?

— Jutro.

Chwila milczenia; księżyc się śmieje, psy nie szczekają.

— Panie Hans!

— Co, panno Loro?

— Bo mnieby pilno wziąć ten rozwód...

Głos panny brzmiał melancholicznie...

— I mnie, panno Loro!

Głos Hansa był smutny.

— Bo to, widzi pan, żeby nie zwłóczyć...

— Najlepiej nie zwłóczyć.

— Imby się prędzej naradzić, temby lepiej.

— Tem lepiej, panno Loro.

— To możemy się zaraz naradzić...

— Jeśli panna pozwoli...

— To pan przyjdzie do mnie...

— Tylko się ubiorę.

— Nie trzeba ceremonii.

Drzwi na dole otworzyły się, pan Hans znikł w ciemnościch, a po chwili znalazł się w panieńskim pokoiku, cichym, ciepłym, schludnym. Panna Lora miała biały szlafroczek i była zachwycająca.

— Słucham panny — rzekł Hans złamanym, — miękkim głosem.

— Ale, bo to widzi pan, jabym bardzo chciała wziąć rozwód, ale boję się żeby nas kto z ulicy nie zobaczył.

— Wszak ciemno w oknach... — rzekł Hans.

— Ach! prawda!... — odparła panna.

Wówczas to zaczęła się narada o rozwodzie, — która już do opowiadania nie należy.

Spokój powrócił do Struck Oil city.

SACHEM

W mieście Antylopie, położonem nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Texas, śpieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tem większe, że od czasu założenia miasta, pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstreli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nietylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tem samem miejscu, na którem stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim, Berlinowi, Grundenau i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indyanie bronili wprawdzie tylko swego "terytoryum", które rząd stanowy Texasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszymi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Grundenau i Harmonii? Pewnem jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, ale natomiast wnosili cywilizacyę, czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest: zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Grundenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset, i wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpio-

ną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spaloną, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziałki wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalił się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy, otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale to samo widlaste położenie, które zgubiło Indyan, podobało się Niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Grundenau i Harmonii rozpoczęła się emigracya do wideł, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavaty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego srebra, którego eksploatacya podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku z mocy prawa Lynch powieszono na placu miejskim — dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Węży, schwytanych w poblizkim lesie Umarłych — i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa Tagblatty i jedna Montagsrevue. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia-Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Węży, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt "O prawach narodów".

Bogatsi mieszkańcy przebąkiwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywem srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, radni, pracowici, systematyczni, otyli. Ktoby w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylopę, tenby w bogatych kupcach miejscowych nie poznał owych niemiłosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach; wieczory spędzali w piwiarni "pod złotem Słońcem" przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych, tych: "Mahlzeit! Mahlzeit!" tych flegmatycznych: "Nun ja wissen Sie Herr Mueller, ist das aber moeglich?" tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, możnaby mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na zgliszczach Chiavatty. Ale wszystko w mieście już było "ganz gemuethlich", i o zgliszczach nikt nie myślał. Tego wieczoru ludność śpieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą jak przyjemną, powtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają do lada mieściny, przybycie więc trupy hon. M. Dean'a stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto Nr. 2-gi programu mówił co następuje: "Spacer na drucie zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, sachem (wódz) Czarnych Węży, ostatni potomek królów pokole-

nia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci. Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten "sachem" mógł obudzić najwyższe zajęcie. Hon. M. Dean opowiadał pod "Złotem Słońcem", że przed piętnastu laty w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego Indyanina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego "sachema" Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą hon. M. Dean dopiero pod "Złotem Słońcem" dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą — i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. — Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na — "great attraction", byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indyanina, pokazać ostatniego z Czarnych Wężów i powiedzieć: "Patrzcie, oto takich w pień wyrznęliśmy przed laty piętnastu". Ach, Herr-Jeh! — Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całem też mieście powtarzano bez ustanku: "Sachem, sachem".

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionemi i przerażonemi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły, maszerowali groźnie, sami nie wiedząc dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiaździsta. Powiew z za miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słodu. W cyrku bije łuna światła. — Ogromne smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeża wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze śpiczastym dachem i z gwiaździstą amerykańską chorogwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać, lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na której wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórnymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrze bufetu z setkami kufli szklanych na stole. Ale oto ściągają zasłonę na dobre, i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi, i wkrótce ciemna ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać opasłe, przechylone w tył dla folgi podbródkom głowy piwoszów, młode twarze kobiece i śliczne zdziwione buzie dziecinne, których oczy omal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami "Frisch Wasser! frisch Bier!" — wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Nakoniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztelarzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy

wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda "Mathilde", córka piwowara z Opuncia-Gasse, zaniepokojona jej widokiem, pochyliła się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica; brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale nr. 1 mija prędko. Nadchodzi nr. 2. Wyraz: sachem! sachem! przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małpich ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać "Jankee-Doodle", a gra posępną aryę Komandora z Don-Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy sachem, ostatni z Czarnych Wężów. Ale cóż to?... Wchodzi nie sachem, jeno sam dyrektor trupy, hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić "łaskawych i szanownych gentlemanów, oraz piękne i niemniej szanowne ladies o nadzwyczaj spokojne zachowanie się, niedawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszy niż zwykle". Słowa te sprawiają niemiłe wrażenie — i dziwna rzecz, ci sami honoratiores Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają

teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blizko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnem utęsknieniem na górne sfery cyrkowe, i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tem duszniej.

Ale ten sachem czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od małych lat w trupie hon. M. Dean'a złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnem. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wywrzeć swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej, niż na to "business" pozwala. Przedewszystkiem trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać zarówno każdy filister jak i ostatni z Czarnych Wężów.

Rozmyślania te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach — i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie sachem. Słychać krótki pomruk ciżby: "To on! to on!" — i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indyanin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzano. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza — pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne — złowrogie. Wodzi on

niemi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzyć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głowy. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w ręku tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. Herr Gott! to okrzyk Czarnych Wężów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie — i co dziwniejsza, ci którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk — namowa skutkuje, bo po chwili sachem kołysze się już na drucie. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indyanin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie, chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! — nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wicher i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku, utkwionym w lampy naftowe, błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem sachem zbliża się do drugiego końca drutu — staje — i niespodzianie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmaga się i potężnieje. Jest to pół śpiew, pół jakieś wołanie niez-

miernie żałobne, dzikie, i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące: "Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny, lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć wielkiego ducha.

"Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wyrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do srebrnych gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatty byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężną. Aż przyszły blade twarze z za mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Bladzi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale, i noże ich zbroczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci.

"I oto niema Chiavatty, bo na jej miejsce biali wznieśli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę".

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz kołysząc się na tym drucie wydawał się jak jakiś czerwony archanioł zemsty, unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

"Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. — Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci — pożogę, krew!..." Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku po-

częły się zrywać szmery, podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęły się do głów. Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? — on? — sam jeden? — zostać, czy uciekać? czy się bronić — i jak? — "Was ist das? was ist das?" — rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakołysał się silniej, wskoczył na drewniany kozieł, stojący pod żyrandolem, i wzniósł drąg. — Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: Rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to Z areny wołają: stój! stój!... Wodza niema! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziajany, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę, i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem: "Was gefaellig fuer den letzten der Schwarzen Schlangen!... Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora, efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów — w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu sachem pił piwo i jadł knedle "pod Złotem Słońcem". Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

LATARNIK

I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został spłókany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z New-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zaspy, między któremi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego poowdu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtóre, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo,

nakoniec: w ogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżniaczonym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej mórg rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. — Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej niż klasztorne, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Folcombridge był w niemałym kłopocie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodzianiej następca zgłosił się jeszcze tego samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. — włosy miał zupełnie białe, płeć spaloną jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Folcombridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję spoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Folcombrigde wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą "pleny".

(Plenami nazywają niezmierne stepy między New-Yorkiem a Kalifornią).

— "All right"! Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za stary?

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. — Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir, to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czył się wzruszony.

— "Well!" — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem "Good bye!"... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyę.

— "All right!"

Tego samego jeszcze wieczoru, gdy słońce stoczyło się nadrugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, — prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną

mgłą, tworzącą koło księżyca wielki zabarwiony tęczowo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przepływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto, mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządo-

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za stary?

— Sir! — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. — Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, Sir, to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Folcombridge, który miał dobre, proste serce, czył się wzruszony.

— "Well!" — rzekł. — Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem "Good bye!"... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyę.

— "All right!"

Tego samego jeszcze wieczoru, gdy słońce stoczyło się nadrugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła jak zwykle na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, — prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną

mgłą, tworzącą koło księżyca wielki zabarwiony tęczowo krąg o miękkich nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przepływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napełniało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto, mógł na tej skale poprostu urągać dawnemu tułactwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Folcombridge'owi, nie wspomniał jednak o tysiącznych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stale, jakiś wiatr wyrywał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkiem, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządo-

wym w Indyach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikiemi plemionami, zamieszkującemi wnętrze Brazylii: tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkansas, i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w górach Skalistych dostał się w ręce Indyan i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, kursującym między Bahia a Bordeaux, potem jako harpunnik na wierorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Havanie i — został okradziony przez wspólnika w chwili, gdy sam leżał chory na "vomito". Wreszcie przybył do Aspinwall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko! On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indyanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z

prawości serca. W swoim czasie, na Węgrzech, dostał kilkanaście pchnięć bagnetem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu, jako środek ratunku i krzyczeć: "Pardon!" Tak samo nie poddawał się w nieszczęściu. Lazł pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie, zapadł na nią dla tego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiwszy sobie ani grana.

Było w nim jeszcze i to dziwne, że po tylu zawodach, zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich cierpliwie i myślą o nich żył lata całe.... Ale zimy mijały jedne za drugiemi i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubieliły mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energię. Cierpliwość jego poczynała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w beksę, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach, lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnione-

go, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególne jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach, tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkiem szczęściem jest tylko — nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. — Tymczasem niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie: czy to prawda? i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzał, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dal owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie, wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i ryczące, szły aż do stóp wysepki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przypływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiał mgłę, ale napędził

czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynało dąć coraz mocniej. — Bałwany skakały ze wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, pouwieszanych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam na dworze ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. — Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu nawoływania. Ale, by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim półgrobem. Nic jednostajniejszego, niż podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człowiekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na

wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłem życiu uczą stosować wszystko do siebie.— Wszystko, z czem styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. — Niebo: to jeden ogół, woda: to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie — w którem myśl jest raczej ciągłem zadumaniem się a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. — Wstawał świtaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie wpatrywał się w dal morską i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów.

Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami zjawiał się codzień w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New Yorku wiózł podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni, domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się jak małe punkciki na białym, ka-

miennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczerby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezmąconej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odpłynęły fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękicie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnem szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dlaczegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwalał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i z samotnością. — Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na nizkie piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni, chodził na ryby, któremi roiły się

załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezdrzewną wysepkę, porosłą tylko drobnemi tłustemi roślinkami, sączącemi lipką żywicę.

Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widac było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej między Aspinwall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nietylko drzewa, nietylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zblizka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią, ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zblizka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakształt lian na drzewach; znał owe senne jeziora leśne, przepełnione drętwami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakiem jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyńcze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na owe "matos", podziwiać ich piękność, a być zasłonionym od zdrad. — Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę z rana. — Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: "Porządnego mamy latarnika". — "I nie heretyk, chociaż Yankee!" Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupował w mieście, lub newyorskiego "Heralda", pożyczanego u Folcombridge'a — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli biło jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu codzień żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnesem. Potem jednak widocznie zdziczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawianej na brzegu, i światło latarni zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła

i ona nawet w rezygnacyę. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wysepce. — Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem.

Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłem odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza. On zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do półśmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej.

Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres: "Skawiński Esq.", wypisany na grubem, żaglowem płótnie. — Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót

przyczem ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć!? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej karyery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula "Heraldzie" o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New Yorku i że zaraz przesłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwytać tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności — była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś tchnienie dawnych czasów: cud jakiś! Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętemi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkiemi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po Trzydziestym roku w Paryżu. Potem wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszcza, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W Czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki, i w awanturniczem życiu.

jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącem sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dziać coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwalskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie bełkotały z cicha, rozpływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście, a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

"Litwo ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie..."

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło nakształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ściskając za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

"Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę
I zarazem mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono..."

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go samotnika na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczem... On poprostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną, za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z tą samatną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczynała zacierać. A teraz "wracał cudem" — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą; on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojnie o swego starego przyjaciela. — Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni, aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. — Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie; więc czytał dalej:

"Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych..."

....

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas "Ta, co Jasnej broni Częstochowy" zabrała jego duszę i przeniosła "do tych pól malowanych zbożem rozmaitem." Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabełkotały rzeki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: "pamiętasz?" On pamięta! a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca, ani matki, bo go odumarli dzieckiem; ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światełkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś w tej swojej wiosce stał nocą na widecie; teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącemi oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli U-ha! U-ha — To ułany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. — Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska

noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłotkach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żórawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeźko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, tak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że ktoś się zbliża. Zapewne idą zluzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawa cie. Co to wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — chorzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San - Geromo rozbiła się na mieliźnie; szczęściem, nikt nie utonął; poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł; istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinwall do New Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed

nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i po morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

WSPOMNIENIA Z MARIPOZY

OPOWIADANIE

Byłem tylko jakby przelotem w Maripozie, i równie pobieżnie zwiedziłem jej okolice. Byłbym się jednak dłużej zatrzymał i w mieście i w hrabstwie, gdybym był wiedział, że o kilkanaście mil od miasta, żyje w lesie prototyp mego Latarnika. Przed niedawnym czasem pan M., który jednocześnie ze mną był w Kalifornii, przeczytawszy "Latarnika", opowiedział mi spotkanie z podobnym do niego zupełnie polskim skwaterem. Opowiadanie to powtarzam wiernie co do treści.

...Po drodze do Big Trees, czyli olbrzymich drzew kalifornijskich, zajechałem do Maripozy. — Miasto to liczyło przed niedawnemi jeszcze laty do 15 tysięcy mieszkańców, obecnie jest ich dziesięć razy mniej. Wiadomo, że w Nowym Świecie miasta rodzą się jak grzyby, ale też często mają żywot motyli. Tak było i z Maripozą. Póki rzeczka Maripoza przeświecała złocistem dnem, a na brzegach osadzała zielonawe grudki drogiego metalu, roili się tu górnicy amerykańscy, "gambusinos" z Meksyku i kupcy z całego świata. Potem wszystko to wywędrowało. "Złote" miasta są nietrwałe, bo złoto prędzej czy później musi się wyczerpać. Dziś miasto Maripoza ma z tysiąc mieszkańców, a brzegi rzeki Maripozy pokryły się już nanowo gęstwiną wierzb

płaczących, drzewa bawełnianego i innych pomniejszych krzewów. Tam, gdzie dawniej górnicy śpiewywali wieczorami: "I crossed Mississippi", obecnie śpiewają kujoty. Miasto składa się z jednej ulicy, na której najpiękniejszym budynkiem jest szkoła; drugie po niej miejsce trzyma "Capitol", trzecie hotel pana Billinga, obejmujący zarazem grocernię, "saloon", to jest szynk, i "bakery" — czyli piekarnię. Kilka innych sklepów świeci wystawami wzdłuż ulicy. Ruch jednak handlowy jest tu bardzo niewielki. Sklepy zaopatrują potrzeby samego tylko miasta, bo w okolicy mało jest fermerów. Całe hrabstwo ma jeszcze nader nieliczną ludność, po większej zaś części szumi olbrzymimi lasami, w których zrzadka siedzą skwaterowie.

Gdy dyliżans nasz wjeżdżał do miasta, było w niem niezwykle ludno, przybyliśmy bowiem w piątek, a to jest dzień targowy. Skwaterowie przywożą w ten dzień miód do grocerni, w której w zamian zaopatrują się w rozmaite artykuły żywności. Inni przypędzają trzodę, fermerowie dostawiają zboże. Lubo emigracya napływa do Maripozy bardzo pomału, znajdowało się wszelako i kilka wozów emigranckich, które łatwo poznać po białych wysokich dachach i po tem, że między kołami zwykle upięty jest na łańcuchu pies, szop albo niedźwiadek. Ruch przed hotelem panował niemały, gospodarz zaś hotelu, pan Billing, kręcił się na wszystkie strony, roznosząc dżin, whisky i brandy. Na pierwsze wejrzenie poznał on we mnie cudzoziemca, jadącego do Big Trees, ponieważ zaś tacy turyści stanowią najpożądańszą dla niego klientelę, dlatego zajął się mną ze szczególną troskliwością.

Był to niemłody już człowiek, ale ruchliwy i żywy jak iskra. Tak po jego ruchach, jak i po twa-

rzy łatwo było poznać, że nie był to Prusak. — Z wielkiem ugrzecznieniem wskazał mi mój pokój. Objaśnił, że już jest po brekfeście, ale jeżeli sobie życzę, podadzą mi natychmiast jeść w "dining room".

— Gentelman zapewne z San Francisco?

— O nie. Z dalszych stron.

— All right! Zapewne do Big Trees?

— Tak jest.

— Jeżeli pan życzysz sobie obejrzeć fotografie drzew, wiszą one na dole.

— Dobrze, zaraz zejdę.

— Czy pan długo zabawi w Maripozie ?

— Kilka dni. Potrzebuję odpocząć a przytem chcę widzieć okoliczne lasy.

— Polowanie tu doskonałe. Niedawno zabito pumę.

— Dobrze, dobrze. Tymczasem pójdę spać.

— Good bye! Na dole jest książka hotelowa, w której pan raczysz zapisać swoje nazwisko.

— Dobrze.

Położyłem się spać i spałem aż do obiadu, o którym oznajmiono uderzeniami pałki w blaszaną górniczą miednicę. Zeszedłem na dół i przedewszystkiem zapisałem się do książki nie omieszkawszy do swego nazwiska dodać: from Poland. Następnie udałem się do "dining room'u". Targ widocznie już się skończył, handlujący rozjechali się do domów, bo do obiadu zasiadło kilka tylko osób. Dwie familie fermerskie, jakiś jegomość bez oka i bez krawata, miejscowa nauczycielka, która widocznie stale mieszkała w hotelu, i jakiś starzec, o ile z ubioru i broni mogłem wnosić — skwater. Jedliśmy w milczeniu, przerywanem tylko krótkimi fra-

zesami: ''Chciałbym panu podziękować za chleb'' lub ''za masło'' lub ''za sól''. W ten sposób siedzący dalej od chleba, masła lub soli proszą o posunięcie tych przedmiotów bliżej nich siedzących sąsiadów. Byłem zmęczony i nie chciałem rozpoczynać rozmowy. Rozglądałem się natomiast po pokoju, którego ściany, jak rzekł pan Billing, były zawieszone fotografiami drzew olbrzymich. Więc: ''Father of the Forest'' czyli ojciec lasu, zwalony już. Nie mógł jednak udźwignąć swoich 4.000 lat na grzbiecie.

Długość' 450 stóp, obwód 112. Ładny tatuś! Wierzyć się nie chce oczom i podpisom. ''Grizlled Giant'': 15 łokci średnicy. No! nawet Żydzi nasi namyślaliby się, gdyby im kazano odstawić taką roślinkę do Gdańska. Dusza skakała mi z radości na myśl, że wkrótce zobaczę w naturze i własnemi oczyma tę grupę drzew, a raczej wież kolosalnych, stojących samotnie w lesie... od potopu. Ja, Warszawiak, ujrzę własnemi oczyma ''ojca'', dotknę jego kory, a może kawał jej przywiozę, do Warszawy, na dowód sceptykom, że naprawdę byłem w Kalifornii. Człowiek, gdy się tak zabłąka, samemu sobie wydaje się dziwnym i mimowoli cieszy się myślą, jak to będzie opowiadał za powrotem i jak miejscowi sceptycy nie będą mu wierzyli, by były na świecie drzewa, mające pięćdziesiąt sześć łokci obwodu. Rozmyślania te przerwał mi głos murzyna:

— Czarnej kawy? białej?

— Czarnej, jak sam jesteś — chciałem odpowiedzieć, ale odpowiedź byłaby nietrafną, stare bowiem murzynisko miało białą jak mleko czuprynę i ledwo nogi włóczyło ze starości.

Tymczasem obiad się skończył. Wstali wszyscy. Ojciec fermer zapchał sobie żuchwy tytuniem,

mama fermerka, siadłszy na biegunowem krześle, poczęła się bujać zawzięcie, a córka, jasnowłosa, grzywiasta Poly, czy Katy, poszła do pianina i po chwili usłyszałem:

''Jenkee Doodlee is going down Town...''

— Nie mnie brać na ''Yankee Doodle!'' — pomyślałem sobie. — Od New Yorku do Maripozy grają mi to panny na fortepianach, żołnierze na trąbkach, murzyni na bandżach, dzieci na kawałkach wołowych żeber. Zapomniałem! Jeszcze na okręcie prześladowała mnie ''Yankee Doodle''. Z czasem w Ameryce zjawi się zapewne choroba: Yankee-Doodlee-fobia! Zapaliłem cygaro i wyszedłem na ulicę. Lekki mrok ogarniał przestworze. Wozy się porozjeżdżały, emigranci również. Było cicho i uroczo. Zachód rumienił się zorzą, wschód ciemniał. Było mi jakoś wesoło i dobrze. Życie wydało mi się nader przyjemnem, lekkiem, swobodnem. Z ogródków przy domach dochodziły mnie śpiewy, gdzieniegdzie wśród krzewów mignęła biała sukienka, gdzieniegdzie para jasnych oczu. Co za śliczny był wieczór! Szkoda tylko, że w Ameryce obywatele mają zwyczaj wieczorami palić śmiecie na ulicy. Zapach dymu bardzo niepotrzebnie miesza się oto z zapachem róż i świeżą wonią poblizkich lasów. Od czasu do czasu, z przyległych do miasteczka pól i gęstwin dolatywały odgłosy pukaniny ze strzelb, bo niemal wszyscy mieszkańcy Maripozy są myśliwymi; zresztą ruch już ustał, śmiecie dogorywały. Na ulicy spotkałem kilka osób, i nie wiem, czy mimowoli własne swoje usposobienie przeniosłem na twarze innych, ale wśród łagodnych blasków zachodu, wszystkie te twarze wydały mi się dziwnie zadowolone, spokojne i szczęśliwe.

— Może też — myślałem sobie — żyje się tu

cicho, spokojnie i szczęśliwie, w tym nieznanym, zapadłym w lasach kącie świata. Może też w tej amerykańskiej swobodzie, dusza tak rozpromienia się i świeci łagodnem światłem, jakby robaczek świętojański. Tu przytem i niegłodno i niechłodno, i przestrzeni dużo, jest się gdzie rozkurczyć, jak ręce gdzie wyciągnąć... A przytem te lasy tak spokojne, ach! jak spokojne... Kilku murzynów, idących naprzeciw mnie, śpiewało dość dźwięcznymi głosami, szczęściem nie "Yankee-Doodle", ale — "Srebrne nitki".

— Dobry wieczór panu — rzekli uprzejmie, — przechodząc koło mnie. I ludzie tu jacyś życzliwi, grzeczni. Doprawdy, gdy przyjdzie starość, pomyślę nieraz o tej cichej Maripozie. Z wysoka doleciał mnie głos żórawi ciągnących gdzieś ku Oceanowi. Rozkołysałem się i rozmarzyłem. Dziwne zebranie wrażeń! ale wróciłem do hotelu prawie rozrzewniony i jakiś tęskny. Począłem myśleć o domu, o moich, i także zacząłem śpiewać, ale także nie "Yankee Doodle". O nie! Śpiewałem: "U nas inaczej! inaczej! inaczej!..."

— Puk, puk, puk!

— Ciekawym, kto to być może — pomyślałem.

— Puk! puk!

— Comme-in

Wszedł gospodarz. Co u licha! co za kraj. I ten ma minę zupełnie wzruszoną. Zbliża się do mnie, ściska mnie silnie za rękę i, nie puszczając mej dłoni, oddala się na długość ramienia, patrząc na mnie tak, jakby mnie chciał błogosławić.

Otwieram usta i moje zdziwienie równa się jego rozrzewnieniu.

— Zobaczyłem w księdze hotelowej... — mówi: — pan jesteś z Polski?

— Tak jest. Czy i pan Polak?

— O nie! — jestem Badeńczyk.

— To pan był w Polsce?

— O nie! nigdy...

— A więc?...

Moje oczy otwierają się równie szeroko, jak usta...

— Panie, — rzecze gospodarz — służyłem pod Mierosławskim.

— Tam do licha!

— To był bohater! to największy wódz w świecie. Jakżem szczęśliwy, że pana widzę... Czy on żyje jeszcze?

— Nie, umarł.

— Umarł — mówi Niemiec, i siadłszy, ciężko opuszcza ręce na kolana, a głowę na piersi.

Nie wiedziałem sam, co mam zrobić. Nie podzielałem entuzyazmu pana Billinga dla M., ale w tej chwili entuzyazm ten był mi miłym i pochlebiał mi. Tymczasem pan Billing zwycięża swój smutek, i uwielbienie jego dla M. płynie kaskadą, wobec której niczem Niagara, albo Yosemita Falls. O uszy moje obijają się imiona kilku bohaterów starożytności, kilku ze średnich wieków, następnie Washingtona, Lafayeta, Kościuszki i Mierosławskiego; potem słyszę wyrazy takie, jak: swoboda, postęp, cywilizacya, słyszę setkami, tysiącami. Wymowny jenerał miał widocznie wymownych szeregowców.

— To był człowiek idealny! wykrzykuje nakoniec mój gospodarz.

— Był czy nie był, mniejsza o to — myślę sobie — ale faktem jest, że ty, pozytywny Niemcze, jeśli masz w sobie coś idealnego, to dziwnym zbiegiem okoliczności, zawdzięczasz to Polakowi. — Gdyby nie on, ergo, gdyby nie my, myśl twoja nie

uleciałaby może nigdy ponad dolary, business i zyski ze swego hotelu. Łapałbyś tylko chciwie turystów, jadących do Big Trees i skakał koło nich, jak koło mnie skakałeś, a teraz oto duch wyższy dmie przez ciebie, jak przez dudy organów — i wyrzucasz słowa, które już skwaśniały jak stare piwo w Europie, ale które jednak nie przestały być najszlachetniejszemi słowami, na jakie się zdobył język ludzki. W starej Europie jest tylko może jedyny kąt, gdzie je biorą jeszcze na seryo i czasem wymawiają ze łzą w oku, a czasem z bólem, że inni poniewierają tymi skarbami, lub na nich gwiżdżą, jak na dziurawych orzechach. Ale trudno... I w owym kącie czasem także... trudno — o jak trudno! co za poczciwy jakiś Niemiec; nie imponuje mu nic a nic Sadowa, ani Sedan, on tylko wspomina M. i swoje Badeńskie. Co za poczciwy Niemiec! Adres jego: Billing's Hotel, Kalifornia, Mariposa County. Warto zanotować adres takiego Niemca. Trzebaż aż do Maripozy po niego jechać!

"All right!"

On tymczasem powtarza: Ach. ten M........! i obciera oczy, wyraźnie obciera oczy. Dusza złota!

— Tak mi miło, że pana widzę, jakbym się napił whisky z imbierem! — mówi do mnie, ściska moją dłoń, ściska ją po raz drugi, trzeci i zabiera się ku drzwiom. Przy drzwiach pali się ręką w czoło, aż plasło.

— Ale! — mówi. — Otom zapomniał! Przecie tu jest pański rodak.

— W Maripozie?

— Nie, on mieszka w lesie. Ale w piątek przyjeżdża na targ z miodem i zostaje na noc. Stary człowiek. Bardzo dobry, bardzo dobry! On tu

już jest ze dwadzieścia lat. Jeszcze tu nikogo nie było, jak on przyszedł. Jutro go panu przyprowadzę.

— Jakże się nazywa?

Niemiec staje i poczyna się w głowę drapać, jak pierwszy lepszy polski Bartek.

— O! I don't know! Nie wiem — mówi. — Coś bardzo trudnego.

Nazajutrz ledwiem wstał, już mój Niemiec jeszcze przed brekfestem przyprowadził mi rodaka.

Był to człowiek wysoki, bardzo nawet wysoki, ale pochylony mocno. Miał białą głowę, białą brodę i niebieskie oczy, które utkwił we mnie odrazu z jakąś dziwną uporczywością.

— Zostawiam panów samych — rzekł Niemiec.

Zostaliśmy tedy sami i patrzyli na siebie przez długi czas w milczeniu.

Po prawdzie byłem jakiś zmieszany widokiem tego starca, podobniejszego do Wernyhory, niż do przeciętnego rodaka.

— Zwę się Putrament — ozwał się starzec. — Azaż nazwisko moje obce jest uszom twoim?

— Nazwisko moje M. — odparłem. — Pańskie obiło mi się o uszy. Zdaje się z Litwy? Coś istotnie przypominało mi się z "Pana Tadeusza", coś "Putrament z Pikturą" w opowiadaniu Protazego o procesach.

Starzec przyłożył rękę do ucha.

— Hę? — rzekł.

— Zdaje mi się z Litwy?

— Podnieś głos twój, albowiem wiek zepsował uszy moje i głuchą jest starość moja — odrzekł pan Putrament.

— Czy on kpi sobie ze mnie, czy ja głupi jestem? — pomyślałem — ale coś ten staruszek mówi językiem proroków... Cóż za oryginały spotykam w tej Maripozie!

— Pan dawno z kraju? — spytałem.

— Dwadzieścia dwa lat tu mieszkam i zaprawdę pierwszym jesteś, którego oglądam ze stron ojczystych, gwoli czemu wzruszone jest serce moje i uradowana dusza we mnie.

Rzeczywiście starzec mówił głosem drżącym i wydawał się bardzo wzruszony. — Co do mnie byłem tylko zdziwiony. Nie siedziałem dwadzieścia lat w lesie, Polaków widziałem niedawno w San Francisko i nie miałem powodu się rozczulać. Miałem natomiast trochę ochoty wykrzyknąć: "Co za styl!"— Gdyby tak kto do mnie mówił przez dobę, tobym chyba zaczął wyć. Brr! Tymczasem starzec wpatrywał się we mnie uporczywie i myśl jego zdawała się pilnie pracować. Kilka razy, jakby pragnął mówić i uciął. Widocznem było, iż sam czuł, że nie wyraża się, jak każdy inny człowiek. Mówił zresztą bardzo poprawnie, ale z trudnością.

— W ziemi dalekiej stężał język mój i związały się wargi moje...

— Co prawda, to nie grzech! — pomyślałem.

Ale wesołość opuszczała mnie. Robiło mi się jakoś przykro i uczułem pewien wyrzut sumienia. Jak sobie tam mówi, tak mówi ten starzec — myślałem — ale mówi ze wzruszeniem, z głębokim smutkiem i szczerze, a ja oto, jakbym podrwiwał sobie z niego.

I mimowolnie wyciągnąłem ku niemu obie ręce. Wziął je i przycisnął silnie do swych piersi, powtarzając:

— Rodak! Rodak!

Takie uczucie drgało w jego głosie, że chwyciło mnie wprost za serce.

W każdym razie miałem przed sobą dziwną zagadkę, a może bardzo smutną. Począłem tedy patrzeć na niego, jakbym patrzał na starego ojca. Posadziłem go z uszanowaniem na krześle i sam usiadłem koło niego; on wciąż patrzał na mnie.

— Co słychać w ziemi naszej? — spytał.

Rozpuściłem język, jak kołowrot, starając się tylko mówić głośno i jasno. W ten sposób gadałem z pół godziny, a w miarę słów moich, szanowna jego głowa kiwała się smutno — lub uśmiech występował mu na usta. Powtórzył raz zdanie Galileusza i częstokroć zadawał mi pytania, zawsze tym samym poważnym, dziwnym i niewytłómaczonym dla mnie stylem.

Wszystko, com mu opowiadał, zajmowało go nad wszelki wyraz. Żyjąc samotnie, wśród lasu, może on dni całe myślał tylko o tem, co płynęło teraz z ust moich.

Dziwny starcze, dziwna raso ludzka, która na najodleglejsze krańce świata niesiesz jedną myśl i jedno uczucie! Tem żyjesz w lasach, w pustyniach i nad morzem; unosisz ciało swoje, a duszy oderwać nie umiesz — i chodzisz jak błędna między innymi ludźmi. Ale rasa ta umiera zwolna. Ja wam opowiadam o jednym z ostatnich.

Opowiadanie zda się wymysłem — a jest rzeczywistością. — Putrament może żyje jeszcze w swoim lesie w blizkości Maripozy. Z opowiadania jego dowiedziałem się co następuje. Był pasiecznikiem, jak większość skwaterów. Nie jest zbyt ubogi. — Pszczoły zarabiały na jego życie. Zestarzawszy się, wziął pomocnika, małego Indyanina, który dogląda

pasieki. Mówił, że sam dotychczas jeszcze codzień poluje. Zwierzyny w pobliżu Maripozy jest mnóstwo: jeleni, antylop i ptactwa wszelakiego moc nieprzebrana.

Niedźwiedzie przerzedziły się znacznie. Jego "Canyon" jest jednym z najpiękniejszych w okolicy. Przy domu jest cudny strumień, tworzący mnóstwo kaskad — zresztą skały i góry, a na nich las i las nieprzebrany. — Cisza, spokój... Zapraszał mię mocno, bym go odwiedził, ale musiałbym z powrotem czekać aż do następnego piątku, więc z żalem nie mogłem przyjąć zaproszenia. Mówił ciągle, jak jaki Abraham, lub Jakób... Słowa: Aza, azali, zaprawdę, lepak, przecz i wzdy — powtarzały się w jego ustach co chwila. Czasami zdawało mi się, że mam przed sobą jakiegoś człowieka z czasów Górnickiego lub Skargi, który pod ziemią przywędrował do Maripozy i zmartwychwstał tu, lub żył od owych czasów, jak owe Big-Trees pobliskie. Ale oprócz tego starego języka, była w mowie jego jeszcze i jakaś dziwna uroczystość, polegająca na toku zdań, na mnóstwie pleonazmów, na szczególnych określeniach. Postanowiłem wreszcie rozwiązać zagadkę.

— Powiedz mi, szanowny panie, skąd ci się wziął ten język? Język to nie dzisiejszy, ale stary, którym już nie mówią w Polsce.

Uśmiechnął się.

— Jedną książkę mam w domu: Biblię Wujka, którą czytuję codzień, abym nie zapomniał mowy mojej i nie stał się niemym w języku ojców moich...

Teraz zrozumiałem. Przez kilkadziesiąt lat w zapadłej Maripozie nie widział ani jednego Polaka, nie mówił z nikim. Czytywał więc Wujka, i nic dziwnego, że nietylko jego słowa, ale i myśli ułożyły

się do miary Biblii. Inaczej już po polsku nie umiał i nie mógł umięć; oddawał to, co czerpał. Nie chciał tylko za nic w świecie zapomnieć. Miał zwyczaj czytywać głośno swoją Biblię każdego ranka. Zresztą nic więcej nie dochodziło go ze stron ojczystych, nic, znikąd — chyba tylko szum lasu kalifornijskiego przypominał mu szumy litewskie.

Gdyśmy się żegnali, rzekłem:

— Za miesiąc wracam do kraju. Czy nie masz pan jakich krewnych? brata, swata, kogokolwiek, komubyś mógł dać znać o sobie?

Zamyślił się, jakby szukał w pamięci jakich najdalszych krewnych — potem począł potrząsać głową.

— Nikogo... nikogo... nikogo...

A jednak ten starzec czytywał Wujka i nie chciał... zapomnieć.

Pożegnaliśmy się.

— Niech cię prowadzi Pan! — rzekł mi na drogę.

On zaraz wyjechał do lasu; ja, we dwa dni potem, do Big Trees. Gdym wsiadał do dyliżansu, mister Billing wstrząsał moją ręką, jakby ją sobie chciał urwać na pamiątkę, i powtarzał:

— To był wielki człowiek, panie, ten M...... Good bye! Good bye! Sehr grosser Mann!

W kwadrans potem otoczyły mnie lasy Maripozy. Nazajutrz, rankiem, myślałem sobie: w tej chwili stary Putrament czyta głośno w Canyonie swoją Biblię...

KONIEC.